

zmrok



HARVARD LAMPOON

Świat Książki

zmRok

HARVARD LAMPOON

zmrok

Z angielskiego przełożył

Andrzej Leszczyński

Tytuł oryginału
NIGHTLIGHT: A PARODY

1. PIERWSZY RZUT OKA

Pałące słońce wiszące nad Phoenix prażyło przez szybę auta, za którą moje nieosłonięte, blade ramiona bezwstydnie zwieszały mi się po bokach. Jechaliśmy razem z mamą na lotnisko, ale tylko ja miałam bilet na samolot, i w dodatku był to bilet w jedną stronę.

Na twarzy malowało mi się przygnębienie przemieszane z zamyśleniem, lecz na podstawie odbicia w szybie samochodu oceniałam, że wyglądam intrygująco. Może i było to trochę niestosowne, jak na dziewczynę w koronkowej bluzce bez rękawów i dzwoniastych džinsach (z gwiazdkami na tylnych kieszeniach). Ale ja właśnie taka byłam - całkiem niestosowna. Od razu odkleiłam łokcie od deski rozdzielczej i zajęłam normalną pozycję na fotelu. Tak było dużo lepiej.

Udawałam się właśnie na wygnanie z domu mojej mamy w Phoenix do domu mojego taty w Switchblade. Jako wygnaniec z własnej woli miałam poznać cierpienia diaspory oraz rozkosze poddawania się tym cierpieniom, podczas których bezdusznie zlekceważę własne prośby, by zyskać przynajmniej ostatnią szansę pożegnania z hodowanym przeze mnie w doniczce grzybkiem. Musiałam stać się gruboskórna, skoro miałam zostać uchodzącą w Switchblade, miasteczku w północno - zachodnim Oregonie, o którym nikt nie słyszał. Nawet nie próbujcie go szukać na mapach, jest tak bardzo mało ważne, że twórcy map



nie zwracają na nie uwagi. A tym bardziej nie próbujcie szukać na tych samych mapach mnie, bo najwyraźniej tak samo jestem za mało ważna.

- Belle - wycodziła moja mama, wydymając wargi, gdy znaleźliśmy się już w hali odlotów.

Od razu dopadło mnie poczucie winy z tego powodu, że zostawiam ją samą na łasce tego gigantycznego nieprzyjaznego lotniska. Ale, jak mawiają pediatrzy, nie mogłam przecież pozwolić, by jej pragnienie separacji uniemożliwiło mi wyjazd z domu co najmniej na osiem lat.

Osunęłam się na kolana i chwyciłam ją za rękę.

- Belle wyjeżdża tylko do czasu ukończenia szkoły średniej, jasne? Będiesz miała mnóstwo okazji do tego, żeby się zabawiać z Billem. Mam rację, Bill?

Skinął głową. Był moim nowym ojczymem i chwilowo jedyną dostępną osobą mogącą zaopiekować się matką pod moją nieobecność. Nie chcę przez to powiedzieć, że mu ufałam, ale z pewnością był tańszy od jakiegokolwiek opiekunki.

Wyprostowałam się i skrzyżowałam ręce na piersi. Trzeba było skończyć z pierdołami.

- Numery alarmowe są wydrukowane na kartce wiszącej nad telefonem w kuchni - odezwała się do niego. - Gdyby ona się skaleczyła, pomiń dwie pierwsze pozycje, to znaczy numer twojej komórki i dostawcy pizzy „Dominos”. Nagotowałam wystarczająco dużo żarcia, żeby starczyło wam na cały miesiąc, jeśli tylko zadowolicie się jedną trzecią lazanii „Stouffera” dziennie.

Mama od razu się uśmiechnęła na samą myśl o lazanii.

- Naprawdę nie musisz wyjeżdżać, Belle - rzekł Bill. - To fakt, że moja drużyna ulicznego hokeja rusza w objazd, lecz tylko po bliskim sąsiedztwie. W przyczepie mieszkalnej jest wystarczająco dużo miejsca dla ciebie, twojej mamy i dla mnie, byśmy mogli dalej w niej mieszkać.

- Z mojej strony to żadne wyrzeczenie. Chcę wyjechać. Mam

ochotę zamienić wszystkich moich przyjaciół i tutejsze słońce na atmosferę małego, deszczowego miasteczka. Jeśli was tym uszczęśliwię, sama też będę szczęśliwa.

- Proszę, zostań... Kto będzie płacił rachunki, kiedy wyjedziesz?

Dotarło do mnie, że wzywani są pasażerowie mojego lotu.

- Założymy się, że Bill prześcignie mamę w sprincie do sprzedawcy soku Jamba Juice?

- Nikt mnie nie prześcignie! - wykrzyknęła mama. Kiedy zerwali się do biegu, a Bill złapał mamę za bluzkę i pociągnął do tyłu, wycofałam się powoli do swojej bramki, pokazałam bilet stewardesie i przesłałam rękawem na pokład samolotu. Nikt z nas nie miał wprawy w pożegnaniach. Z jakiegoś dziwnego powodu zawsze wychodziło nam przeganie.

Byłam zdenerwowana przed spotkaniem z tatą. Bałam się jego oschłości. Dwadzieścia siedem lat w roli jedyne go czyściciela szyb w Switchblade musiało wyrobić w nim dystans do ludzi co najmniej grubości szyby. Wciąż pamiętałam, jak kiedyś zrozpaczona mama klapnęła na sofę i załała się łzami po którejś kłótni, a on tylko spoglądał na nią ze stoicyzmem, właśnie zza szyby, którą mył od zewnątrz, wodząc wycieraczką powolnymi, kolistymi ruchami.

Kiedy zobaczyłam go wśród oczekujących przy wyjściu z hali przylotów, ruszyłam nieśmiało w jego stronę, przy czym omal nie stratowałam małego dziecka i nie przewróciłam gabloty z breloczkami do kluczy. Jeszcze bardziej onieśmielona, wyprostowałam się błyskawicznie i skoczyłam w kierunku ruchomych schodów, o mało nie wywinąwszy orła na wózku do bagaży pozostawionym z lewej strony wejścia na eskalator. Brak koordynacji odziedziczyłam właśnie po tacie, który zwykle popychał mnie ku ziemi, kiedy uczyłam się chodzić.

- Nic ci się nie stało? - zapytał z uśmiechem, łapiąc mnie pod rękę. - To moja kochana, niezdarza Belle! - wyjaśnił jakiejś



przechodzącej dziewczynie, która obrzuciła nas podejrzliwym wzrokiem.

- Tak, to ja! Twoja Belle! - wykrzyknęłam, skrywając twarz za włosami, które zwykle nosiłam rozpuszczone.

- Och, witaj! Wspaniale, że znów cię widzę, Belle. - Uściskał mnie dość mocno, zgniatając w ramionach.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, tato!

Poczułam się dziwnie, zmuszona do użycia tego określenia, bo gdy jeszcze mieszkaliśmy wszyscy w Phoenix, mówiłam mu po imieniu, Jim, i tylko moja mama nazywała go tatą.

- Strasznie wyrosłaś... Pewnie bym cię nie poznał, gdyby nie ta pępowina.

Naprawdę była aż tak długa? Czy rzeczywiście nie widziałam ojca od ukończenia trzynastki, kiedy to bez wątpienia przechodziłam trudny okres odcinania pępowiny? Uświadomiłam sobie nagle, ile jeszcze mamy do nadrobienia.

Nie zabrałam z Phoenix wszystkich swoich ubrań, miałam więc tylko dwanaście sztuk bagażu. Oboje na zmianę zapakowaliśmy je do bagażnika jego vipera.

- Zanim zaczniesz pomstować na to, że wziąłem rozwód i stałem się typowym facetem przeżywającym kryzys wieku średniego - zaczął, gdy jeszcze zapinaliśmy pasy, naciągaliśmy nałokietniki i nakładaliśmy plastikowe kaski - pozwól, że ci wyjaśnię: niezbędny jest mi samochód równie dynamiczny jak wycieraczki. Moi klienci to ludzie, którzy oceniają każdy aspekt człowieka. Jeśli uznają, że nie dorosłem do tego, by myć im okna, tym bardziej zakwestionują moją zdolność operowania z dachu ich domu. Jeśli możesz, wcisnij ten guzik, skarbie. Wsuniesz nad maskę wielką głowę żmii.

Miałam nadzieję, że nie zechce odwozić mnie tym autem do szkoły. W porównaniu z nim cała reszta uczniów musiałaby przyjeżdżać na oklep mułami.

- Będiesz miała własny samochód - zapowiedział tata, kiedy już zdążyłam odliczyć w pamięci do dziesięciu i syknęłam:



- Jasna cholera... Jaki model? - zaciekałam się, uznawszy błyskawicznie, że ojciec naprawdę musi mnie kochać, bo inaczej nie zafundowałby mi żadnego porządnego bolidu!

- To półciężarówka. A konkretnie wóz holowniczy. Był bardzo tani. Szczerze mówiąc, prawie darmowy.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - zapytałam, szczerze licząc na to, iż nie odpowie, że ze złomowiska.

- Ściągnąłem z ulicy.

Kurde.

- Kto ci go sprzedał?

- O to się nie martw. Dostaniesz go ode mnie w prezencie.

Nie wierzyłam własnym uszom. Solidna półciężarówka mogła pomieścić na skrzyni wszystkie kapsle od butelek, które od dawna chciałam zbierać.

Odwróciłam spojrzenie do okna, w którym odbijała się moja mina - lekko obrażona, ale zarazem wyrażająca odrobinę zadowolenia. Natomiast za szybą na zielone miasto Switchblade lały się z nieba strugi deszczu. Przyszło mi do głowy, że to miasto jest aż nazbyt zielone. W Phoenix zieleń oznaczała kolor świateł na skrzyżowaniu, ewentualnie odcień skóry przybyszów z kosmosu. Tu jednak jakby cała przyroda kipiała zielenią.

Podjechaliśmy pod piętrowy dom w stylu Tudorów, pomalowany na kremowo, z czekoladowymi belkami nośnymi, wskutek czego przypominał miniaturową ekierkę, za którą tęskni się przez cały tydzień szkoły i która ma wystarczyć na wiele dni. Przez okno dojrzałam tylko niewielki jego fragment, bo dom przysłał mój wóz, który miał z boku wymalowanego druida ścinającego drzewo i ciemny napis: HOLOWANIE.

- Ten wóz jest wspaniały - powiedziałam, z trudem łapiąc oddech. A kiedy zaczerpnęłam na nowo powietrza, dodałam: - Przepiękny.

- Cieszę się, że ci się podoba, bo od dzisiaj jest wyłącznie twój.

Jeszcze raz ogarnęłam spojrzeniem moją wspaniałą



landarowatą półcięzarówkę i wyobraziłam ją sobie na szkolnym parkingu pośród błyszczących nowych sportowych aut. A potem wyobraziłam sobie, jak pożera te cholerne sportowe cacka, i uśmiechnęłam się mimo woli.

Wiedziałam, że tata będzie nalegał, bym sama przeniosła dwanaście sztuk bagażu z podjazdu do domu, ruszyłam więc ku niemu z niecierpliwością. Wyglądał tak, jak można się było spodziewać. Cztery ściany i sufit kłuły w oczy nagością dokładnie tak samo jak w moim poprzednim domu w Phoenix! Trzeba przyznać, że ojciec potrafi zadbać o szczegóły, które sprawiają, że od razu czuję się jak w domu!

Chyba jedyną pozytywną cechą taty jest to, że jak na starego odznacza się nie najlepszym słuchem. Kiedy więc zamknęłam drzwi od mojego pokoju, rozpakowałam rzeczy i mimowolnie zaszlochałam, po czym z hukiem zatrzęsnęłam drzwi szafy, otworzyłam je na powrót i zaczęłam z wściekłością rozrzucać ciuchy po całym pokoju, chyba nawet nie zwrócił na to uwagi. I tak z ulgą upuściłam nieco pary z kotła, ale nie byłam jeszcze gotowa, żeby zredukować w nim ciśnienie do zera. To miało przyjść dopiero później, kiedy ojciec usnął, a ja leżałam, dalej gapiąc się w sufit i myśląc o tym, jacy są na ogół moi rówieśnicy. Od razu uznałam, że jeśli któryś z nich wykaże się czymś nadzwyczajnym, raz na zawsze uwolnię się od tej przeklętej bezsenności.

...

Następnego ranka tylko pogrzebałam widelcem w talerzu ze śniadaniem. Jedynymi płatkami, jakie znalazłam w kuchennych szafkach, były płatki rybne. Ubrałam się więc i spojrzałam w lustro. Gapiła się z niego na mnie wychudzona dziewczyna, o zapadniętych policzkach, długich ciemnych włosach, bladej cerze i czarnych oczach. Dobry żart! Mogłam budzić postrach! Mimo wszystko było to moje odbicie. Pospiesznie się uczesałam i

spakowałam plecak, bez przerwy wzdychając na wspomnienie mojego wozu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że w tutejszej szkole nie będzie żadnych wampirów.

Na szkolnym parkingu wstawiłam półciężarówkę na jedyne miejsce, które było zdolne ją pomieścić, to znaczy na dwa sąsiednie miejsca zarezerwowane dla dyrektora i wicedyrektora szkoły. Poza tym autem na parkingu wyróżniało się tylko jeszcze jedno: sportowy wóz z całym dachem usianym rozmaitymi antenami.

Co za kretyn chciałby jeździć taką wytworną limuzyną? - pomyślałam, mijając ciężkie dwuskrzydłowe drzwi szkoły. Na pewno żaden z tych, których udało mi się dotąd w życiu spotkać.

W sekretariacie siedziała za biurkiem rudowłosa panienska. Była blada, podobnie jak ja, tyle że wyglądała jak balon.

- Czym mogę służyć? - zapytała, usiłując poznać mój charakter wyłącznie na podstawie wyglądu. Jednakże jako osoba skrajnie tajemnicza traktowałam ze sceptycyzmem tego rodzaju oceny.

- Pewnie mnie pani nie pamięta, bo jestem tu nowa - wtrąciłam szybko, strategicznie. Nie wątpiłam, że ostatnią rzeczą, na jakiej teraz zależy burmistrzowi, jest porwanie córki byłego wieloletniego zmywacza szyb samochodowych. Mimo to gapiała się na mnie jak na coś niezwykłego. Chyba moja fama mnie wyprzedziła.

- Więc czym mogę ci służyć? - powtórzyła.

Od razu uzmysłowiłam sobie jedno: ona chce mi pomóc tylko dlatego, że jestem córką zmywacza szyb samochodowych, a więc dziewczyną, o której wszyscy tu plotkują od czasu, gdy wczoraj wysiadłam z samolotu. I domyślałam się też, co o mnie mówią: „Belle Goose: królowa, wojowniczką, pochłaniaczka tekstów”. Więc to chyba jasne, że nie mogłam jej pozwolić, by zdołała mnie podciągnąć pod przyjęty z góry osąd.

- *Salut! Comment allez - vous s'il vous plaît...* Och, przepraszam. Co za niezręczność! W poprzedniej szkole w

Phoenix chodziłam na lekcje francuskiego i czasami całkiem przestawiam się na ten język. W każdym razie, ujmując rzecz brutalnie po angielsku, czy mogłaby pani skierować mnie do wyznaczonej klasy angielskiego?

- Jasne. Niech no tylko spojrzę w rozkład zajęć...

Wyciągnęłam rozkład z plecaka i podsunęłam go jej pod wybielałe, serdelkowate paluchy, z których każdy był ściśnięty srebrnym pierścionkiem niczym parówka wysuwająca się z otworu maszyny do mięsa. Uśmiechnęłam się. Chyba stanowiła wspaniały zadatek na porządną, zawsze wdzięczną kurę domową.

- Wygląda na to, że ma pani podstawowe zajęcia z angielskiego.

- Przecież zaliczyłam już podstawowy kurs angielskiego, i to wiele semestrów, mówiąc szczerze.

- Lepiej niech pani nie próbuje mnie przechytryć.

Zatem wiedziała już, że jestem chytra. Raczej podniesiona na duchu kontynuowałam:

- Wie pani co? Pójdę sobie. A co mi zależy, prawda?

- W głębi korytarza na prawo - wyjaśniła szybko. - Sala dwieście jeden.

- Bardzo dziękuję - odparłam.

Nie minęło jeszcze południe, a już nawiązałam znajomość. Czy to nie jest dowód, że niektórzy posługują się jakimś rodzajem ludzkiego magnetyzmu? Byłam jednak podniesiona na duchu, chodziło bowiem o kobietę w średnim wieku, co wydawało mi się całkiem logiczne. Wielokrotnie słyszałam od matki, że jestem nad podziw dojrzała jak na swój wiek, zwłaszcza dlatego, że umiem docenić smak kawy z gorącą czekoladą, cukrem i mleczkiem. Niemniej tak samo dojrzałe dotarłam pod drzwi sali numer 201, otworzyłam je z impetem i z rozdziawioną gębą popatrzyłam na uczniów biorących udział w tych zajęciach. Chyba dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że jestem zaprzyjaźniona ze starszymi rocznikami.

Nauczyciel rzucił okiem na listę w dzienniku.



- A pani to zapewne... Belle Goose.

Poczułam się trochę skrępowana, gdyż wszyscy się na mnie gapili.

- Proszę zająć miejsce - rzekł.

Jak na złość, program tej klasy był zbyt podstawowy, żeby wzbudzić moje zainteresowanie. *Ulisses*, *Tęcza grawitacji*, *Zapomnienie* czy *Atlas zbuntowany* przeplatały się z Derridą, Foucaultem, Freudem, doktorem Philem, doktorem Dre i doktorem Seussem. Aż jęknęłam cicho, gdy nauczyciel przedstawiał mnie klasie, wymieniając kolejno nazwiska uczniów. Przemknęło mi przez myśl, że powinnam była poprosić mamę o przysłanie czegoś ciekawego do czytania, czegoś w rodzaju tych esejów, które napisałam w ubiegłym roku.

Kiedy rozległ się dzwonek, siedzący obok mnie chłopak, jak należało oczekiwać, popatrzył na mnie i wyklepał jak katarynka, do tego tonem znamionującym, że powinnam się w nim zakochać od pierwszego wejrzenia:

- Wybacz, ale twój plecak leży na środku przejścia.

Wiedziałam. Z samego wyglądu należał do chłopaków pokroju „wybacz - ale - twój - plecak - leży - na - środku - przejścia”.

- Mam na imię Belle - odparłam, zachodząc w głowę, co jest we mnie najbardziej zaskakującego: czy moje od zawsze kościste ramiona, czy też zachowanie, w powszechnym mniemaniu odpychające, mimo że pochłonęłam wszystkie książki dotyczące kuszącego zachowania, więc mogłabym być kusząca, gdybym tylko chciała. - Czy byłbyś uprzejmy zaprowadzić mnie do następnej klasy?

- No... tak, jasne - mruknął z poządlwym ociąganiem.

Na korytarzu próbował mnie zagadywać bajeczką o tym, jak to został porzucony w dzieciństwie, więc nie spocznie, dopóki nie weźmie odwetu. Miał na imię Tom. Nie dało się ukryć, że ludzie, których mijaliśmy, nastawiali uszu w nadziei, że jego opowieść i mnie skłoni do ujawniania tajemnic z mojej

przeszłości.

- To jak jest w Phoenix? - zapytał błagalnym tonem.

- Gorąco. Przez cały czas praży słońce.

- Naprawdę? Kurde...

- Zaskoczony? Chyba bardziej powinno cię dziwić, że mam taką bladą cerę, mimo że dorastałam w tak gorącym klimacie.

- Cóż... Rzeczywiście jesteś dość... blada.

- No właśnie, jak świeży trup - zażartowałam, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu. Ale on nawet nie zachichotał. Powinnam się była domyślić, że w Switchblade nikt nie zrozumie mojego poczucia humoru. Odnosiłam wrażenie, jakby tutaj nikt do tej pory nie zetknął się z ironią.

- To twoja klasa - powiedział, kiedy znaleźliśmy się przed salą trygonometrii. - Powodzenia!

- Dzięki. Może jeszcze spotkamy się na jakichś zajęciach? - podjęłam, chcąc dać mu nadzieję, że jednak ma po co żyć.

Trygonometria ograniczyła się do wyklepywania wzorów, do których obliczenia od dawna robiliśmy na kalkulatorach, a nauki polityczne do bredni o tym, jak to jutro przekroczymy granicę i zaatakujemy Kanadę. Wszystko to już przerabiałam w poprzedniej szkole.

Do bufetu na lunch zaprowadziła mnie jedna z dziewczyn. Miała rudawe kręjące się włosy zebrane w gruby koński ogon, który bardziej przypominał ogon wiewiórki, zwłaszcza w połączeniu z jej perełkowatymi wiewiórczymi oczkami. Wydawało mi się, że skądś ją znam, nie mogłam tylko skojarzyć skąd.

- Cześć - zaczęła. - Wygląda na to, że chodzimy razem na wszystkie zajęcia. - To wyjaśniało, skąd ją pamiętałam. Przypominała mi podobną wiewiórkę, z którą łąziłam w Phoenix.

- Jestem Belle.

- Tak, wiem. Już nas sobie przedstawiano, i to chyba ze cztery razy.

- Och, przepraszam. Ciągłe mam kłopoty z

zapamiętywaniem czegoś, co mi się na nic nie przyda.

Przypomniała mi swoje imię. Lululu? Zagrazia? Na pewno było z tych, które natychmiast ulatują z pamięci. Zapytała, czy chcę zjeść z nią lunch. Zatrzymałam się w korytarzu, otworzyłam terminarz i spojrzałam na poniedziałek, na dwunastą.

- Pusto! - oznajmiłam. Wpisałam ołówkiem „lunch z koleżanką”, po czym od razu go odhaczyłam, gdy stanęłyśmy w kolejce. Postanowiłam, że od tego roku będę wzorowo zorganizowana.

Usiadłyśmy przy stoliku razem z Tomem i paroma innymi przeciętniakami. Co chwila próbowali mnie wypytywać kontrolnie o zainteresowania. Odpowiadałam uprzejmie, że to sprawy tylko pomiędzy mną i moimi potencjalnymi przyjaciółmi.

I wtedy właśnie zobaczyłam jego. Siedział przy stoliku sam i nawet nie jadł. Przed nim stała taca pełna pieczonych ziemniaków, a on nawet jednego nie wziął do ust. Naprawdę są ludzie zdolni siedzieć przed porcją pieczonych ziemniaków i nawet ich nie spróbować? Jeszcze dziwniejsze było to, że nie spostrzegł także mnie, Belle Goose, przyszlęj zdobywczyni Oscara.

Przed nim na stoliku stał komputer, a on gapił się zmrużonymi oczami w ekran z takim zapałem, jakby najważniejszą rzeczą dla niego było fizyczne zdominowanie obrazu. Był muskularny, wyglądał na faceta, który mógłby przygwoździć mnie do ściany z taką łatwością, jakby rozpinał plakat, ale zarazem szczupły, jak ktoś, kto jednak wolałby mnie utulić w ramionach. Miał ciemnoblonde włosy o rudawym odcieniu, uczesane w sposób zdecydowanie heteroseksualny. Wyglądał na starszego od pozostałych chłopaków w stołówce, może nie tak starego jak sam Bóg albo mój ojciec, chociaż z pewnością mógłby ich obu zastąpić. Wyobraźcie sobie wszystkie kobiece ideały ponętneho ciacha uformowane w jednego faceta. To był właśnie on.

- A cóż to takiego? - zapytałam, wiedząc z góry, że nie ma

nie wspólnego z istotami skrzydlatymi.

- To Edwart Mullen - odparła Lululu.

Edwart. Jeszcze nigdy nie spotkałam chłopaka o imieniu Edwart. Mówiąc szczerze, nie spotkałam nikogo o tym imieniu. A przecież brzmiało zabawnie. O wiele zabawniej niż Edward.

Kiedy tak siedziałam i patrzyłam na niego, zdaje się, godzinami, choć nie mogło to trwać dłużej niż cała przerwa na lunch, w pewnym momencie jego wzrok powędrował ku mnie, prześliznął się po mojej twarzy i wbił mi się w serce niczym kły. Ale w mgnieniu oka cofnął się i znów utkwiał nieruchomo w ekranie komputera.

- Przeprowadził się tu dwa lata temu z Alaski - wyjaśniła.

A więc był nie tylko tak samo błąd jak ja, lecz w dodatku również należał do wygnańców pochodzących ze stanów zaczynających się na A. Ogarnęła mnie przemożna fala współczucia. Jeszcze nigdy nie odczuwałam tak silnej więzi.

- Ten chłopak nie jest wart twojego czasu - dodała, będąc w błędzie. - Edwart z nikim się nie umawia.

W głębi ducha uśmiechnęłam się ironicznie, ale na zewnątrz tylko smarknęłam i pospiesznie schowałam dziwnie zagлуconą chusteczkę do kieszeni. W dodatku miałam być jego pierwszą dziewczyną.

Wstała od stolika.

- Idziesz na biologię, Belle?

- Jasne, Lululu - odrzekłam.

- Lucy. Mam na imię Lucy. Jak w programie *Kocham Lucy*.

- W porządku. Lucy... Jak w programie *Kocham Edwarta*. - Może i jestem niezwykła, ale zawsze znajdę sposób na zapamiętanie wybranych słów. - Resztki na lewo! - ryknęłam gardłowo, wyrzucając pozostałości po lunchu, to znaczy na wpół zjedzoną drożdżówkę.

Obejrzałam się na Edwarta, żeby sprawdzić, czy zwrócił uwagę, że jestem tak samo zdyscyplinowana w trakcie posiłków. Ale jakimś dziwnym sposobem zniknął. Minęło zaledwie

dziesięć minut od chwili, kiedy patrzyłam na niego po raz ostatni, a już zdążył się rozpląnąć w powietrzu.

Odwrociłam się w samą porę, żeby dostrzec, iż nieco chybiłam do pojemnika na śmieci i moja na wpół zjedzona drożdżówka szybuje w kierrunku tyłu głowy dziewczyny siedzącej przy najbliższym stoliku.

- Hej! - wrzasnęła, kiedy ciastko twardo wylądowało. - Kto to zrobił?

- Chodźmy - syknęłam do Lucy, złapałam ją za rękę i pociągnęłam do wyjścia ze stołówki, gdy powietrze rozciąły pierwsze latające kanapki.

Dotarłyśmy do klasy i Lucy skrzyła w stronę swojego partnera do ćwiczeń, a ja zaczęłam się rozglądać za wolnym miejscem. Były tylko dwa, jedno przy stole w pierwszym rzędzie, a drugie obok Edwarta. Krzesło w pierwszym rzędzie miało wyłamaną nogę, bo przechodząc, kopnęłam je niechcący, zatem nie miałam wyboru. Musiałam siedzieć obok najponętniejszego chłopaka w całej klasie.

Ruszyłam w kierunku tego miejsca, rytmicznie kręcąc biodrami i unosząc brwi jak prawdziwie atrakcyjna dziewczyna. Nagle poleciałam do przodu i z impetem pojechałam po podłodze między stołami. Na szczęście kabel od komputera owinął mi się wokół kostki i powstrzymał przed huknięciem głową w stół pana Franklina. Pospiesznie wyszarpnęłam go z gniazdka, wyplątałam się z niego, wstałam i popatrzyłam dokoła ciekawa, czy ktoś to widział. Gapiła się na mnie cała klasa, ale chyba z zupełnie innego powodu. Mam na plecaku holograficzną naszywkę, która pod jednym kątem przedstawia bakłazana, a pod innym oberzynę.

Edwart także patrzył na mnie. Może sprawił to blask jarzeniówek, ale jego oczy wydały mi się ciemniejsze, bezduszne. Wrzał z oburzenia. Przed nim stał komputer, ale płynąca z niego wcześniej syntetyczna melodyjka nagle ucichła. Uniósł na mnie zaciśniętą pięść.

Otrzeptałam chemiczny pył z ubrania i usiadłam. Nie patrząc na Edwarta, wyjęłam książkę i zeszyt. Po czym, nadal nie patrząc na Edwarta, uniosłam wzrok na tablicę i przepisałam do zeszytu temat lekcji nagryzmołony kredą przez pana Franklina. Nie sądzę, by ktoś inny w mojej sytuacji zdołał zrobić aż tyle, nie patrząc na Edwarta.

Wciąż z głową zwróconą sztywno ku przodowi, pozwoliłam swoim źrenicom ześliznąć się w bok i ogarnąć go peryferyjnie, co przecież nie może być zaliczone do patrzenia. Przeniósł swój komputer na kolana i podjął przerwana grę. Siedzieliśmy tuż obok siebie przy stole laboratoryjnym, a on od początku zajęć nawet się do mnie nie odezwał. Zachowywał się tak, jakbym nie stosowała dezodorantu czy coś w tym rodzaju, podczas gdy w rzeczywistości użyłam rano nie tylko dezodorantu, ale jeszcze perfum i odświeżacza powietrza. Więc może rozmazał mi się błyszczak na wargach? Wyciągnęłam lusterko i zerknęłam w nie ukradkiem. Nie rozmazał się, za to coraz lepiej było widać kilka nowych pryszczu na czole tuż pod linią włosów. Złapałam leżący przed Edwartem ołówek i jego tępym końcem zaczęłam je sobie wciskać z powrotem w głąb lekko nabrzmiałej skóry. Zaczęły więc przypominać ślady po kulach. Satysfakcja gwarantowana.

Obejrzałam się, żeby mu uprzejmie podziękować za możliwość skorzystania z ołówka, ale gapił się na mnie z jawnym przerażeniem na twarzy, z rozdziawionymi ustami stanowiącymi serdeczne zaproszenie dla wszelkiego pokroju latających żywych organizmów, na przykład ptaków. Chwycił swój ołówek i papierową chusteczkę, zaczął go energicznie wycierać, a także palce. Następnie użył odkażacza w aerozolu. W końcu kredą na podłodze narysował wokół swego krzesła szeroki krąg i wrócił do spisywania z tablicy punktów dzisiejszej lekcji, jednocześnie ledwie słyszalnie nucąc pod nosem:

- Przekłete zarazki, znów groźba zarazy! Edwart z „Antyseptom” se z nimi poradzą!

Wyciągnęłam rękę, chcąc jeszcze raz skorzystać z ołówka do

zanotowania punktów w zeszycie, lecz gdy tylko moje palce znalazły się nad linią narysowaną kredą na podłodze, wrzasnął na całe gardło. Był to dziwnie piskliwy krzyk jak na chłopaka. Moim zdaniem pasował tylko do superbohatera.

Pan Franklin mówił o cytometrii, immunoprecypitacji i mikromacierzach DNA, ale ja już to wszystko wiedziałam z nagranych na kasecie wykładów, którego wysłuchałam dziś rano w drodze do szkoły. Zaczęłam obracać gałkami ocznymi dookoła, jakby znajdowały się na karuzeli. To najlepszy znany mi sposób na to, żeby nie zasnąć. Lecz ilekroć moje oczy zsuwały się w kierunku na prawo, zastygały tam na dłuższą chwilę. Nic nie mogłam na to poradzić, to one chciały zobaczyć Edwarta. A kiedy wędrowały dalej ku samej górze w stronę sufitu, znowu zastygały na chwilę, żeby się nacieszyć tym pięknym widokiem.

Edwart dalej dziobał palcami klawiaturę komputera. Świetnie było widać, jak z każdym dziobnięciem krew przepływa falą nabrzmiętymi żyłami na jego przedramieniu aż do bicepsa, gdzie musi dodatkowo zmagać się z obcisłymi mankietami białej koszuli od garnituru, której rękawy nonszalancko podwinął aż do łokci, jak gdyby szykował się do wytężonej fizycznej pracy. Cóż tam wypisywał z takim zapalem? Czyżby usiłował mi coś sprzedać? A może próbował w ten sposób udowodnić, jak łatwo byłoby mu wyrzucić mnie wysoko w niebo, po czym złapać i utulić w tych muskularnych ramionach, i jeszcze szepnąć na ucho, że nigdy nie podzieli się mną z nikim na tym świecie? Aż przeszył mnie dreszcz i uśmiechnęłam się skromnie, do głębi przerażona.

Kiedy rozległ się dzwonek, pozwoliłam sobie jeszcze raz zerknąć na niego i natychmiast spałam na głębszy poziom poczucia własnej bezwartościowości. Wpatrywał się bowiem z wściekłością w ten dzwonek i zaciskał pięści tak, aż dygotały mu mięśnie ramion. Niemalże ciskał błyskawice ze swoich ślicznych ciemnych oczu. Po chwili w przypływie desperacji raz i drugi szarpnął się za włosy, unosząc twarz ku górze. W końcu powoli

obejrzał się na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, poczułam elektryzujące fale, jakby przez moje ciało przepływały silne strumienie elektronów. Czy właśnie tak odczuwa się wielką miłość - zapytałam się w duchu - na przykład do robotów? Zastygła pod wpływem jego jonizująco - hipnotyzującego spojrzenia, przypomniałam sobie stare powiedzenie: *Na tyle piękna, żeby ją zabić, wypatroszyć, wypchać i powiesić w salonie nad kominkiem.*

Nagle poderwał się z miejsca i skoczył biegiem do wyjścia z klasy. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, jak jest wysoki, gdy podeszwy jego butów w długich susach unosiły się aż na wysokość moich oczu, a wymachy ramion znamionowały siłę, której nic nie mogłoby się oprzeć. Oczy zaszyły mi mgłą. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego od czasu, gdy w dzieciństwie pastylki owocowe w mojej spoconej dłoni rozpląnęły się, barwiąc skórę w smugi mieniające się wszystkimi kolorami tęczy. Pod koszulą na jego plecach rytmicznie przesuwwały się łopatki, które sprawiały wrażenie białych skrzydeł majestatycznie bijących powietrze w trakcie zrywania się do lotu - demonicznych białych skrzydeł.

- Zaczekaj! - zawołałam za nim, gdyż zostawił na krześle swój laptop. Przez środek ekranu ciągnął się napis: GAME OVER. To rzeczywiście koniec gry, pomyślałam, uznawszy to za celną metaforę.

- Mogę skorzystać z twoich notatek? - zapytał jakiś normalny mężczyzna.

Podniosłam na niego wzrok. Był ciemnym blondynem średniego wzrostu, szczupłym, ale dość barczystym. I dosyć pociągającym. Uśmiechnął się do mnie i w jednej chwili przestałam nim się interesować.

- Jasne, czemu nie?

Podaliśmy mu swój zeszyt i trochę za późno zdałam sobie sprawę, że mimowolnie nagryzmoiliłam na marginesie podobiznę Edwarta. Na szczęście na moim rysunku miał długie kły, z

których skapywała jakaś czarna ciecz. Na pewno sos sojowy.

- Tylko oddaj mi go szybko - powiedziałam, już mając ochotę powiesić ten rysunek na ścianie w swoim pokoju.

- Dzięki, Lindsey - rzucił, myśląc mnie zapewne z Lindsey Lohan. I uśmiechnął się po raz drugi. Był naprawdę sympatyczny. Miał ładnie uczesane, krótko przycięte włosy i przyjazne oczy. Musieliśmy zostać przyjaciółmi. Dobrymi, ale tylko przyjaciółmi.

- Możesz mnie zaprowadzić do sekretariatu? - zapytałam.

Następna była lekcja WF - u, a ja bardzo potrzebowałam mojego wózka inwalidzkiego. Znajdowałam się w takim stanie, że nogi mi całkowicie drętwiały na samo wspomnienie zajęć w sali gimnastycznej.

- Nie ma sprawy - rzekł, pozwalając, bym ciężko się wsparła na jego ramieniu. - Nawiasem mówiąc, mam na imię Adam. Chyba poznaliśmy się już na lekcji angielskiego. Bardzo się cieszę! Dopóki jedno z nas będzie robiło notatki, drugie, to znaczy ja, nie będzie musiało chodzić na lekcje.

Ledwie mógł złapać oddech, zanim jeszcze wyszliśmy z klasy na korytarz. Bliskie obcowanie ze mną strasznie denerwuje niektórych facetów.

- Nie zauważyłeś niczego niezwykłego w zachowaniu Edwarta podczas lekcji? Bo mam wrażenie, że się w nim zakochałam - powiedziałam nonszalancko.

- No cóż, wyglądał na nieźle wkurzonego, kiedy się zaplątałaś w kabel i odłączyłaś mu komputer od zasilacza.

A więc nie tylko mnie to zaniepokoiło, inni także zwrócili uwagę na zainteresowanie Edwarta moją osobą. Bez wątpienia było we mnie coś takiego, co wzbudzało w Edwarcie bardzo silne uczucia.

- Aha... - mruknęłam filozoficznie. - Ciekawe.

- To już tutaj.

Wyprostował mnie i ustawił opartą ramionami o ścianę, po czym zawrócił szybko, zadyszany i naburmuszony.

Pozwoliłam mu odejść i wkroczyłam do sekretariatu.

- Na następną godzinę jestem sparaliżowana - oznajmiłam sekretarce.

- Usiądź w swoim fotelu, kochanie - powiedziała szybko, unosząc wzrok znad kieszonkowego wydania *Daylight*.

Niezdarnie okrążyłam jej biurko, próbując sobie wyobrazić, że mój fotel stał się nagle królem wszystkich rzeczy na kółkach, ale byłam zbyt pochłonięta czym innym. Przede wszystkim uderzyło mnie, że skoro dostałam samochód na własność w prezencie, oznaczało to, że inni musieli zapłacić dużo większe pieniądze za dużo słabsze auta. A po drugie, byłam już prawie całkiem pewna, że w Edwarcie kryje się coś nadprzyrodzonego, coś, co wykracza poza granice racjonalnego wytłumaczenia.

Przestałam więc spekulować na jego temat i zaczęłam obserwować długą procesję mrówek. Pomyślałam, że życie byłoby dużo prostsze, gdybym i ja potrafiła unieść na plecach ciężar będący dwudziestokrotnością mojej masy.

2. RATUNEK

Następny dzień był cudowny... a zarazem koszmarny, a więc średnio, jak sądzę, w porządku.

Cudowny był dlatego, że mniej padało. A koszmarny dlatego, że Tom potrącił mnie swoim samochodem.

- Bardzo przepraszam... Nie widziałem cię! - wycedził, odjeżdżając, żeby zająć któreś z ostatnich miejsc na parkingu, zanim ten wypełni się do cna. Pozbierałam się do kupy i uśmiechnęłam wyrozumiale. Ciągłe starania Toma o przyciągnięcie mojej uwagi schlebiały mi, ale czasami były zaskakujące.

Na angielskim znowu siedziałam z Adamem. Zaczynałam się już martwić, że wejdzie to do porządku dziennego i że on zacznie sobie uzurpować prawo do zajmowania miejsca przy mnie zawsze, nawet wtedy, gdy będę zasiadała z ojcem do śniadania w domu rodzinnym. Kiedy pan Schwartz wywołał go do odpowiedzi, zaczął coś mamrotać - musiałam więc założyć, że sombrero, które miałam na głowie, było równie urokliwe jak praktyczne w taką pogodę - ale myślami odpłynęłam w dal. A myślałam o Edwarcie. Wyjęłam z kieszeni spis racjonalnych powodów, dla których nie chciał wczoraj ze mną rozmawiać:

- nazbyt przestraszony
- za bardzo smutny



- zbyt wyciszony
- za mało ludzki

Miałam już zacząć nowy spis, listę miejsc, które chciałabym odwiedzić, kiedy usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Podniosłam głowę. To był Adam.

- Koniec lekcji - rzucił i zawrócił do wyjścia.

Naprawdę nie byłam przyzwyczajona do takiego nadszkakiwania ze strony chłopaków.

- Racja! - zawołałam za nim. - Wyczułam to już dawno!

Nie odpowiedział. Westchnęłam ciężko. Powinnam się była spodziewać, że nikt nie zrozumie mojego poczucia humoru na zajęciach z angielskiego.

W drodze do szatni zawadziłam biodrem o ławkę, ta huknęła w drugą ławkę, a tamta w stół nauczycielski, na którym stał delikatny i wrażliwy model Sfer Niebieskich. Zakołysał się niebezpiecznie. Znając swoje szczęście, mogłam uznać za cud, że nie przewrócił się na biurko. Zwalił się za to na podłogę, a ja niechcący pośliznęłam się na nim i jakoś tak się złożyło, że gąbka z niego wylądowała w moich włosach.

W czasie lunchu znowu usiadłam razem z Tomem, Lucy i resztą paczki. Rozglądając się po sąsiednich stolikach, uświadomiłam sobie, że zajęłam dość popularne miejsce. Przede wszystkim nasz stół znajdował się najbliżej drzwi, co zapewniało możliwość dotarcia w porę do klasy na zajęcia. Poza tym wszyscy siadający przy nim mieli swoje śniadania zapakowane w podpisane torebki. Od razu zrobiło mi się żal dzieciaków przy innych stolikach, które mogły być równie sympatyczne, tyle że nie były dostatecznie ustawione, by zasiadać tak blisko drzwi i korzystać z papierowych torebek na lunch. Na torebce Toma widniał napis „Mój mały biszkopcik”. Kiedy zapytałam, czemu jego mama zapakowała mu na śniadanie tylko jeden biszkopcik, udał, że mnie nie słyszy. Zanotowałam w pamięci, żeby przynieść jakieś warzywa dla tego chłopaka.

Po lunchu była biologia, do tego z Edwartem. Miałam nadzieję, że nie słyhać, jak wali mi serce, kiedy szłam w głąb sali między rzędami stołów. A jeszcze bardziej miałam nadzieję, że nie widać, jak bardzo się pocę; musiałam jak szalona tryskać feromonami na lewo i prawo, bo Adam i Tom dziwnie się za mną obejrzeni. Jak gdyby zdążyli poznać moje głęboko skrywane tajemnice. Na środku klasy przygotowałam się już na ich szalone ataki, kiedy nagle ujrzałam Edwarta. Wyglądał jak chłopak z reklamy dezodorantu, który natychmiast bym od niego kupiła, gdyby tylko był sprzedawcą, nawet gdyby zawierał pył aluminiowy, który powoduje AIDS. Ostrożnie wśliznęłam się na miejsce obok niego. Ku memu zdumieniu podniósł wzrok znad ekranu komputera i lekko skinął mi głową.

- Cześć - syknął głosem, który w moich uszach przemienił się w anielski chór chłopców.

Nie mogłam uwierzyć, że się odezwał. Siedział tak daleko ode mnie, jak tylko to było możliwe, prawdopodobnie z powodu zapachu, ale zdawał się instynktownie wyczuwać moją obecność, jak jakieś dzikie zwierzę.

- Cześć - odparłam. - Skąd wiesz, że mam na imię Belle?

- Co? Wcale nie wiedziałem, jak masz na imię. A więc cześć, Belle.

- No właśnie, Belle. Skąd wiedziałeś? Przecież Belle to przezwisko.

Zrobił zdziwioną minę.

- Przepraszam, ale...

- Nie przejmuj się tym - wtrąciłam, przenosząc wzrok na tablicę. - Na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie całej tej sytuacji.

Po tym w ogóle przestał się odzywać. Wyobraziłam sobie, jak bym wyglądała po ugryzieniu przez wampira. Bez wątpienia bardzo kobieco.

Pan Franklin zapowiedział, że tego dnia będziemy przeprowadzali sekcję żaby. Przydzielił każdej grupie po jednym



egzemplarzu, wyjmując go z lodowato zimnego plastikowego woreczka śmierdzącego środkami odkażającymi. Nasza żaba spoczęła na środku metalowej tacki stojącej na środku stołu laboratoryjnego. Aż przeszył mnie dreszcz na myśl, ile niewinnych muszek musiała pożreć, zanim skończyła w ten sposób.

- No więc... możemy zaczynać? - zapytał Edwart.

- Tak, tak - odparłam szybko.

Chwyciłam skalpel i wbiłam jego czubek w martwą żabę.

- Zaczekaj! - wykrzyknął Edwart. - Najpierw musimy zapoznać się z procedurą!

- Przecież to proste - odparłam i jednym ruchem rozciąłam żabę na pół. Już przerabiałam podobne ćwiczenia. Nad stawem, kiedy byłam jeszcze mała.

Pan Franklin zatrzymał się przy naszym stole.

- Tylko ostrożnie, Belle! Inaczej nie zdołasz zobaczyć, co jest w środku!

- Tak, wiem - przyznałam. - W poprzedniej szkole robiłam to już na dodatkowych zajęciach.

Biolog pokiwał głową.

- Rozumiem - rzekł. - Może w takim razie pozwolisz, żeby Edwart poprowadził dalej tę sekcję?

Wzruszyłam ramionami. Jeśli pan Franklin uznał, że to ćwiczenie jest dla mnie za proste, pewnie miał rację. Ze znudzoną miną odchyliłam się na oparcie krzesła. Edwart zaczął delikatnie odcinać kolejne warstwy żabiej skóry i robić notatki w tabeli. Pochyliłam się nad stołem, nagle zauroczona jego charakterem pisma. Przez chwilę miałam wrażenie, że spoglądam na pismo anioła. Dopiero później sobie przypomniałam, że aniołowie nie mają przecież rąk. Zatem musiał być czymś innym, ale bez wątpienia czymś ponadnaturalnym.

- Czy... tego... zamierzasz przepisać te notatki do swojego sprawozdania laboratoryjnego? - zapytał. Przesunął arkusz w moją stronę, żebym lepiej widziała, wychodząc chyba z

założenia, że skoro sam prowadzi sekcję, musi lepiej ode mnie znać budowę żaby.

- Już je napisałam - odparłam, wyciągając swoje sprawozdanie.

Moje szkice były dopracowane i duże, żabie narządy miały na nich wielkość ludzkich. Pod tabelami wyszczególniłam nawet kilka fundacji zajmujących się dawstwem organów, na wypadek gdyby pan Franklin popadł w nastrój charytatywny i postanowił przekazać w darze te wszystkie żabie narządy ludziom, którzy mogliby ich potrzebować.

Edwart popatrzył na moje rysunki i zmarszczył brwi, najwyraźniej zawstydzony wyglądem swoich szkiców.

- Potraktujmy te sprawozdania jako prace indywidualne - zaproponował, doskonale wiedząc, że w pełni na to zasługuje. Równocześnie w jego oczach zapaliły się jaskrawozielone ogniki.

- Wczoraj też miałaś zielone oczy? - zaciekałam się szybko.

Obrzucił mnie tak wyniosłym spojrzeniem, jakie mogło znamionować jedynie boga. Ale takiego boga, który w telewizyjnej reklamie zachwala warsztat montowania samochodowych kołpaków.

- No cóż... To znaczy... że mam zielone oczy - mruknął.

Dźwięk dzwonka tak mnie zaskoczył, że aż podskoczyłam na krześle. Całkiem straciłam poczucie czasu, spoglądając w te nienaturalnie zielone oczy Edwarta. Pospiesznie wyszedł z klasy. Wzięłam kilka głębszych oddechów, próbując złowić jeszcze jego zapach, ale nad stołem unosiła się jedynie woń rozkrojonej żaby. Wstałam i ruszyłam do wyjścia, potykając się o nogi kilku uczniów.

• • •

Po szkole sprawdziłam swoją pocztę, nadeszły już



czterdzieści cztery e - maile od mojej mamy. Wyświetliłam pierwszy lepszy z nich.

Belle! Natychmiast odpowiedz na ten mejl, bo inaczej zawiadomię policję! Za późno! Już dzwoniłam! Kiedy zapytali, czy to nagły wypadek, odpowiedziałam, że tak! Wyjaśniłam, że całkowicie lekceważysz własną matkę! Dodałam, że w porcie zostałam uwięziona jako zakładniczka! To powinno wystarczyć. Całusy, mama

Odpisałam jej szybko, jak zwykle siłąc się na swobodny i radosny ton, ale nigdy nie umiałam skutecznie ukryć przed nią depresji. Za dobrze mnie znała. Wiedziała, że gdy piszę, iż poznałam sympatyczną dziewczynę, z którą chcę się zaprzyjaźnić, należy rozumieć, że większość uczniów w nowej szkole to nudziarze. Wiedziała, że gdy twierdzę, iż świetnie się dogaduję z tatą, który nawet kupił mi samochód, znaczy to, że jakiś piekielnik z klasy wziął się na mnie. Dzięki Bogu stworzyliśmy ten nasz szyfr dawno temu, kiedy nie bałam się jeszcze sieciowych szpiegów. Chciałam jej przekazać, że w Switchblade wcale nie jest tak źle. Jeśli tylko pojawiłoby się coś groźnego, a może nawet nie coś groźnego, tylko raczej ktoś groźny, mama nie przejmowałaby się aż tak bardzo moim samopoczuciem.

Utłukłam kilka jagnięcych kotletów na obiad.

- Belle, naprawdę nie musiałaś... - zaczął tata, siadając do stołu.

- Mylisz się, tato - odparłam. - W Phoenix na okrągło gotowałam. Naprawdę. Wcale mi to nie przeszkadza.

- Ale chciałbym, żebyś od czasu do czasu i mnie pozwoliła coś upiec - rzekł. - Bo, widzisz... Nie obraż się, wspaniale gotujesz, ale już ci mówiłem, że jestem wegetarianinem i...

- Nie smakują ci moje kotlety? - spytałam z troską w głosie, przejęta, że może zrobiłam je za grube albo pokroiłam mięso wzdłuż włókien.

- Ależ nie, są wspaniałe, Belle. Wiem, że trudno ci się jeszcze zaaklimatyzować. Są naprawdę wspaniałe.

Uśmiechnęłam się i wbiłam zęby w kotlet. Przynajmniej w kuchni mogłam liczyć na zaufanie taty.

Następnego ranka deszcz przemienił się w śnieg. Zmartwiło mnie to. Przyzwyczaiałam się już odmierzać drogę do szkoły kałużami, wjeżdżając z jednej w drugą i mierząc ich głębokość w specjalnej pięciopunktowej skali Belle - Goose, w której 1 oznaczało suchy ład, a 5 tsunami. Jim wyszedł już z domu, zanim wstałam. Przez dobre pół godziny niepokoiłam się, że nie znalazł chleba, który mu naszykowałam w kredensie, ani mleka zostawionego w kartonie. Później włożyłam najbardziej pachnącą z moich zimowych czapek i wyszłam na dwór.

Mój wóz holowniczy był zasypany, ale na szczęście nie zapomniałam, że mam ręce niemal stworzone do tego, by zgarniać kupy śniegu i zrzucić je na ziemię. Jedyne problem polegał na tym, że ten śnieg mogłam zrzucić tylko na trawnik od frontu. Zaczęłam go więc usypywać w wielką pryzmę na skrzyni półciężarówki. Wtedy uświadomiłam sobie, że trafia się wymienita okazja, by przygotować gigantyczną porcję lodowego napoju. Pobiełam do kuchni po cukier i czerwony barwnik spożywczy, po czym rozsypałam je na pryzmie śniegu. Uruchamiając silnik, zaczęłam rozmyślać o tytule swojego kuchennego programu telewizyjnego. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, brzmiało *Goose szykuje gęsi*. W drugiej kolejności przyszło mi do głowy tylko jedno słowo: genialne!

Przez całą drogę rytmicznie deptałam pedał hamulca, żeby uniknąć groźniejszego poślizgu i żeby kołysanie skrzyni auta jak najlepiej wymieszało składniki wspaniałego napoju lodowego. A kiedy zatrzymały mnie czerwone światła na skrzyżowaniu, zaczęłam głośno naśladować elektroniczny sygnał obwoźnego sprzedawcy lodów.

Podczas śnieżycy nie obowiązują żadne zasady parkowania,

zatrzymałam więc wóz na środku ulicy, wysiadłam i ruszyłam pieszo w stronę bocznego wejścia do szkoły. I wtedy właśnie to się stało.

Nie zaszło w powolnym tempie, w rytm kroków staruszka, ale też niezbyt szybko, w rytm biegu staruszka. Trochę tak, jakby się piło powoli napój energetyzujący z trupa czaszką na puszcze, którego wszystkie mamy zabraniają - kiedy to myśli gwałtownie przyspieszają, gdy wlewa się napój do ust, a potem zwalniają, gdy się go przelyka, i w końcu równocześnie przyspieszają i zwalniają, gdy się wymiotuje. Wiadomo, że czując wyzwanie, sięga się od razu po drugą puszkę.

Spadało w moim kierunku z nieba po balistycznym torze, tak szybko zniżając pułap, że byłam pewna, iż nie zdążę uskoczyć. Nigdy się nie zastanawiałam, jak zginę, chociaż w głębi ducha liczyłam na to, że polegnę na wojnie. Nigdy nie podejrzewałam, że moje życie zakończy się w taki sposób: od śniegowej piguły.

I oto niespodziewanie Edwart wyrósł przede mną jak spod ziemi, a jego ciemne, kręcone, celowo - jakby - nieuczesane loki przesłoniły mi widok i zaraz rozległ się potężny huk. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie sądziłam nawet, że to w ogóle możliwe. Edwart uratował mi życie.

- Skąd ty... jakim cudem...? - zająknęłam się, zerkając spod mojej nieskazitelnie czystej czapki na jego obsypaną śniegiem kurtkę.

Ale on mnie nie słuchał. Na jego twarzy malował się szeroki, wręcz nieziemski uśmiech.

- Przygotuj się na śmierć, Nemezis! - krzyknął, po czym ulepił ze śniegu kulę i zaczął ją toczyć w kierrunku szkoły.

Tym bardziej nie mogłam w to uwierzyć. Stawał w mojej obronie!

- Edwart! Edwart! - zawołałam, rezygnując z wszelkich prób zapanowania nad sobą. Skoczyłam w jego kierrunku, gdy pochylony przetaczał kulę, żeby zebrać na nią jeszcze więcej śniegu. Unieruchomiłam mu ramiona wzdłuż boków, żeby

przestał się wreszcie podniecać myślami o pigułowym napastniku. - Uratowałeś mi życie! - wykrzyknęłam. - Jeszcze ci tego za mało? Przerwij ten odwieczny krąg zemsty!

Skoczyłam mu na plecy, żeby powstrzymać go od szerszenia diabelskiej przemocy, do której był zdolny, i wtedy dostałam dwiema piętami w twarz.

- Uff - jęknął, uwalniając ręce z mojego uścisku, żeby wydlubać śnieg z oczu. - Złaż ze mnie, dziewczyno! Przez ciebie będę pachniał dziewczynskimi rzeczami!

Puściłam go osłupiała. Śnieg opadał z jego kurtki na ziemię, jak gdyby w ogóle się go nie imał!

- Jak ty to robisz? - zapytałam, skutecznie maskując swoje skrajne przerażenie jego nadludzką mocą.

- Edwart ma dziewczynę! Edwart ma dziewczynę! - wykrzyknął ktoś.

- Nieprawda! Ona nie jest moją dziewczyną! Nawet jej nie znam! - wrzasnęła, chcąc chronić naszą wspólną rozkwitającą intrygę przed żalonymi plotkami, po czym odwrócił się do mnie i zapytał: - Co? Niby jak co robię?

- Popatrz na śnieg! On się na tobie topi! - Zbliżyłam się o krok i stanęłam z nim twarzą w twarz. - Ty nie... nie jesteś człowiekiem, prawda? - szepnęłam zmysłowo.

Zaśmiał się krótko. Nerwowo.

- Chodzi ci o zajęcia z biologii? - zdziwił się. - Wiesz, skąd tak się znam na żabach? Bo kiedyś miałem żabę. Nie należę do tych, co przeglądają strony internetowe, żeby się dowiedzieć, jak robić żabom sekcję. Tylko świry to robią. Ja nawet nie uczę się do zajęć. I nie zależy mi na dobrych stopniach. W ogóle nienawidzę szkoły. Więc może... zerwalibyśmy się dzisiaj wszyscy z lekcji i poszli gdzieś razem? Co ty na to?

Poczułam, że się czerwienię. Jego buty, chociaż całe oblepione śniegiem, były zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe. Przykucnęłam, aby im się lepiej przyjrzeć, i ostrożnie dotknęłam ich palcem. Tak szybko cofnął nogę, że omal się nie

przewrócił. Jakimś cudownym sposobem błyskawicznie złapał równowagę tylko dzięki temu, że postawił z powrotem stopę na ziemi.

- Hej! Przestań! - zawołał. - Powiedz lepiej, czy... lubisz gry, takie różne, i w ogóle? Jak gry wideo... komputerowe... planszowe... chipsy ziemniaczane...

Tak usilnie starał się uniknąć odpowiedzi na moje pytanie, że aż mnie rozzłościł. Wstałam.

- Świetnie wiem, co widziałam. Któregoś dnia zaufasz mi na tyle, żeby powiedzieć prawdę.

- O czym? Już teraz mogę ci powiedzieć prawdę. Na przykład o żabach ryczących. - Zaśmiał się. - Nic prostszego. Prawda jest taka, że żaby ryczące wchłaniają powietrze przez skórę.

Obejrzałam się przez ramię, żeby go uchronić przed niepowołanymi świadkami. Zwróciłam uwagę na ciekawie nadstawione uszy w odległości jakichś dziesięciu metrów.

- Prawdę o twoich zdolnościach - odparłam, unosząc brwi.

Oczywiście chciałam unieść tylko jedną, jak to robią detektywi na filmach kryminalnych, lecz gdy unosiłam jedną, ta druga jakoś sama mi podjeżdżała do góry. Mimo to nie uszło mojej uwagi, iż żaden przeciętny człowiek nie zdołałby tak szybko jak on zeskoczyć z chodnika do rynsztoka.

- Posłuchaj - rzucił z zaciekłością zaciekłego wiatru czy nawet małego huraganu. - Jestem zwykłym uczniem, jak reszta. W weekendy także zajmuję się normalnymi rzeczami. Codziennie po szkole wracam do domu i pełny luzik, relaksuję się aż do pójścia do łóżka. A chodzę spać, kiedy mi się podoba, bo moi rodzice za bardzo mnie lekceważą, aby wyznaczać godzinę policyjną. Jasne? - Złapał mnie mocno za ramiona.

Pomyślałam, że jeśli mu nie przytaknę, zaraz zgniecie mnie jak muchę.

- Tak, rozumiem. Ale na pewno zdarzy się jeszcze niejedna okazja - bąknęłam nieśmiało.



To go ugłaskało. Puścił mnie i uciekł biegiem, jak poprzednio poruszając się z wielkim wdziękiem.

Gotowałam się ze złości przez całą drogę do klasy. Skąd wiedział, że siedzieliśmy razem na zajęciach z biologii? Jak wyczuł ten moment, żeby podejść dokładnie w tej chwili, gdy w moją stronę poleciał piguła? Dlaczego śnieg topił się na nim, jakby był zrobiony z jakiejś wodnistej substancji? A przede wszystkim dlaczego mnie okłamywał co do prawdziwej natury swego nadludzkiego charakteru? Byłam tak zdenerwowana, że przypadkowo wznieciłam pożar na matematyce, przez co jeden z chłopaków musiał iść do gabinetu pielęgniarki. Zdaje się, że tak mocno pocierałam o siebie pałeczkami, które zawsze noszę ze sobą, iż zajęły się ogniem. Do diaska. Edwart naprawdę zalał mi za skórę. Na niczym nie mogłam się skupić, nawet na obliczeniu wartości całki Riemanna przy danych zmiennych w zadaniu, które rozwiązywałam. Kurde, robiłam się całkiem do niczego.

Tej nocy po raz pierwszy przyśnił mi się Edwart Mullen. Siedziałam we wzorzystym namiocie, otoczona zwierzętami, a zewsząd dolatywała skoczna muzyka. Zajadaliśmy się wszyscy popcornem i opowiadaliśmy sobie dowcipy. Nagle w namiocie zapadła ciemność i na arenę wyszedł Edwart, sam. Był na szczytach i pokrzykiwał „Wow! Wow!”, chwiejnym krokiem obchodząc arenę dookoła.

Obudziłam się zlaną zimnym potem i przerażona.

3. NAKŁUCIE PALCA

Miesiąc, który nastąpił po incydencie ze śniegową pigułą, był dla mnie bardzo trudny. Ludziska gapili się na mnie, zwłaszcza podczas wyczytywania listy przez nauczyciela, kiedy odpowiadałam: „Obecna”. Jakimś sposobem moje przezwisko dla Edwarta, „bohater”, nie trafiło na podatny grunt. Dlatego postanowiłam zerwać mój niepisany, milczący i czysto intuicyjny kontrakt z Edwartem i zacząć rozpowszechniać naszą historię.

Najpierw powiedziałam Tomowi i Lucy, że uratował mnie przed spadającą pigułą. Nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Zaczęłam więc rozpowiadać, że uratował mnie przed ciężkim kamieniem ukrytym w śnieżnej kuli, a w końcu doszłam do tego, że ocalił mnie przed lawiną. Któregoś dnia wyrwało mi się, że Edwart rzucił się z nadludzką szybkością i swoją nadludzką siłą zatrzymał samochód, który za chwilę miał mnie przejechać.

- Chwileczkę - odezwała się jakaś pierwszoklasistka stojąca przede mną w kolejce do bufetu. - Edwart Mullen? Ten palant, który chodzi w za małych ubraniach?

Obejrzałyśmy się równocześnie na niego. Siedział przy stoliku sam i odrabiał lekcje domowe zadane na przyszły miesiąc.

- Tak - odparłam grobowym tonem, po czym gwałtownie wbiłam zęby w budyń, który miałam na łyżeczce i który miał

mnie uchronić przed koniecznością dalszej rozmowy.

- To widocznie jesteś tu nowa - odrzekła dziewczyna, wstając i zabierając swoją tacę.

- Jak wszyscy diabli - syknęłam, spluwając za nią porcją budyniu czekoladowego.

Nie odpowiedziała. Jakby chciała tylko potwierdzić, że w Switchblade nikt mnie nie zrozumie.

Mimo wszystko Edwart miał do mnie słabość. Zdawałam sobie sprawę, że pewnie marzył, aby nigdy do czegoś takiego nie doszło, żeby nie miał okazji mnie uratować - i od tamtej pory zaczęłam nosić koszulkę z wydrukowanym napisem: „Dzięki, Edwart!”. Któregoś popołudnia w sali biologicznej, już ponad miesiąc po tamtych zdarzeniach, dłużej nie wytrzymałam. Wyglądał tak cudownie ze swoimi rudawymi kręconymi włosami i piegami na twarzy, jakbym patrzyła na zdjęcie „przed” w telewizyjnej reklamie odżywki dla piegawatych mężczyzn. Mimo to sprawiał wrażenie tak zadowolonego z siebie, jakbym do niczego nie była mu potrzebna, jak gdyby się bał, że moje kształty szybko zmierzające w stronę kulistości przeniosą się na nasze potomstwo. Koniecznie musiałam coś zrobić.

Szturchnęłam siedzącego przed nami chłopaka, a kiedy się odwrócił i obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem, zapytałam:

- Cześć. Masz na imię Peter, prawda?

- Owszem - odparł, będąc pod wrażeniem.

- Nie chciałbyś pójść ze mną na bal kończący rok szkolny? - powiedziałam wystarczająco głośno, żeby Edwart to słyszał.

- No... tak, jasne... - mruknął. - Tylko nie warto by się wcześniej parę razy spotkać? Przecież ledwie się znamy.

Czy Edwart zwrócił na to uwagę? Ogarniała go zazdrość? Wstydliwie zerknęłam na aurę jego nastroju, żeby poznać prawdę, lecz ta była wciąż purpurowobrazowa! Najwyraźniej musiałam się bardziej postarać, jedna randka przed baleem to było za mało. Odwróciłam się więc i zagadnęłam chłopaka siedzącego z prawej:



- Zack?

- O co chodzi? - zapytał, nie spuszczać wzroku z tablicy i wciąż robiąc notatki.

- Pójdiesz ze mną na bal promocyjny?

- Czyż nie... poprosiłaś o to przed chwilą Petera?

- Owszem - odparłam. - Ale wołałabym pójść z tobą.

Zawahał się.

- No cóż... nie jestem jeszcze umówiony, więc chyba może być, jak sądzę.

- Hej, Adam! - zawołałam przez całą klasę.

- Belle, proszę - zaproponował pan Franklin. - Staram się wpoić wam trochę wiedzy.

Niemniej sam ten fakt, że zawołałam do Adama, musiał dać mu do zrozumienia, że jestem w stanie skrajnej desperacji - i to desperacji miłosnej - bo tylko westchnął głośno i wrócił do tabeli wyników analizy komórki.

- Ja już jestem umówiony, Belle - odpowiedział Adam głośnym szeptem.

- Tom! - wykrzyknęłam.

- Belle! - rzucił z przyganą w głosie pan Franklin.

Z satysfakcją odchyliłam się na oparcie krzesła, bo Edwart gapił się już na mnie ze zdziwieniem.

Nim skończyliśmy lekcje, padało tak mocno, że niemal musiałam pozegłować moim wozem z powrotem do domu. Wyprostowałam się na dachu szoferki, zaciskając dłonie na końcu długiej tyczki, jakbym była w Nowym Orleanie i zamierzała ratować Edwarta z potopu.

- A zatem, Belle... - zaczął mój tata tego wieczoru przy kolacji. - Wpadł ci już w oko jakiś chłopak ze szkoły? Co myślisz na temat Toma Newta? Sprawia wrażenie sympatycznego.

- No, jest niezły - mruknęłam, wyobrażając sobie, co by to było, gdyby Tom miał wygląd Edwarta. Byłby godny pożądania.
- Będziesz jadł ten szpinak czy nie?

- Masz na niego ochotę, skarbie?

- Nie, ty powinieneś go zjeść - odparłam. - I jeszcze wziąć dokładkę z mojej porcji. Szpinak jest bardzo zdrowy. No, śmiało, tato. Otwórz buzię!

Nabrałam na widelec tyle szpinaku, ile tylko się dało, i wyciągnęłam go w kierunku jego ust. Część jednak spadła na podkładkę pod talerzem, a część na jego kolana.

- Szeroko! Nadjeżdża pociąg! - Zaintonowałam. - Ciuch, ciuch, ciuch...

- Belle, pociągi wydają zupełnie inne odgłosy - zaprotestował. - To jest Ciuuuch - ciuch - ciuch... z akcentem na pierwsze „ciuch”.

- Może tak jest w Switchblade - odparłam z powątpiewaniem, jako że nie zamierzałam się wycofywać ze zdobytej właśnie pozycji.

Nazajutrz chciałam wyglądać szczególnie dobrze na biologii, gdyż byłam pewna, że Edwart jako trzeci poprosi mnie, bym mu towarzyszyła podczas balu promocyjnego. Na noc owinęłam sobie włosy wokół sprężyn z fotela z salonu, żeby zrobić sobie loki. Kupiłam nawet plastikową nakładkę ze sztucznymi zębami. Toteż w drodze do szkoły następnego ranka czułam się dzika i swobodna, choć może tylko dlatego, że kilku sprężyn nie zdołałam wyplątać z włosów.

Zajęłam miejsce pod salą biologii już po czwartej przerwie, by mieć całkowitą pewność, że nie przegapię szóstej lekcji. Szybko zrobiło się ciemno, a pan Franklin akurat rozstawiał umyte zlewki do szafek. Pozwolił, żebym zjadła lunch przy stole laboratoryjnym, gdyż obiecałam, że zakryję cały blat folią aluminiową, by niczego nie skazić.

Kiedy rozległ się dzwonek, wyprostowałam się na krześle i przywołałam na usta mój promienny uśmiech pełen równych, białych, plastikowych zębów. Do sali zaczęli wchodzić uczniowie. Tom, Adam, Lucy, jeszcze inni znajomi. Ale nie było

Edwarta. Przestałam się uśmiechać i wyjęłam sztuczne zęby. Przemknęło mi przez myśl, że ledwie zaczęłam traktować Edwarta jak normalnego, zazdrosnego chłopaka, zrobił coś nieprzewidywalnego i nie przyszedł na zajęcia z bukietem róż.

- Uwaga! - zaczął pan Franklin. - Mojemu siostrzeńcowi jest potrzebna transfuzja, chciałbym więc poznać, jakie macie grupy krwi.

Mówił tak, jakby był dumny z tego pomysłu. Włożył gumowe rękawiczki, które złowieszco strzelały, ilekroć puszczony ściągacz stykał się ze skórą dłoni. Skrzywiłam się z niesmakiem. *Trzask. Trzask. Trzask.*

- W porządku, więcej nie będę - obiecał. - Ale to taki przyjemny odgłos!

Edwarta nadal nie było. Dlaczego właśnie tego dnia nie zjawił się na lekcji biologii? Przecież był na angielskim. Wiedziałam to, gdyż osobiście dostarczałam mu do klasy wiadomość „z gabinetu dyrektora”. Brzmiała tajemniczo: „Hej QT”. Od razu pożałowałam, że nie jestem dyrektorką. Natychmiast zamknęłabym go w kozie. Zasługiwał na to właśnie dlatego, że nie zjawił się na lekcji, podczas której miał mnie poprosić, bym mu towarzyszyła na bal.

Pan Franklin zaczął wyjaśniać:

- Będę chodził od ławki do ławki z formularzami gotowości do oddania krwi, więc nie wychodźcie, dopóki do was nie dojdę. Ci, którzy mają inną grupę krwi niż AB, mogą zebrać się z tyłu klasy. - Rozległy się pojedyncze wiwaty, więc dodał szybko: - Ale dopiero wtedy, gdy poznam grupę krwi każdego z was! Na razie ostrożnie nakłujcie sobie opuszki palców czubkiem któregoś z moich kuchennych noży...

Chwycił za rękę Adama i szybkim ruchem odciął mu czubek palca wskazującego. Krew trysnęła nie tylko na laboratoryjny fartuch pana Franklina, lecz także na plecy siedzącej z przodu dziewczyny.

Kiedy spojrzałam na tryskający łukiem w górę strumyk krwi,

zrobiło mi się słabo. Gdzie on się podziewał? Dlaczego nie zjawił się właśnie na tych zajęciach, na których mógłby znaleźć tyle satysfakcji?

I oto nagle się pojawił. Edwart. Ten sam Edwart, lekko naburmuszony, z masywną kwadratową dolną szczęką i głową otoczoną aureolą zmierzwionych jasnych włosów. Między zębami miał coś krwistoczerwonego. Wraz z kolejną falą mdłości uświadomiłam sobie przyczynę jego spóźnienia: był u dentysty!

Nagle dotarło do mnie, że w klasie zaległa martwa cisza, a wszyscy gapią się na mnie. Czyżbym powiedziała to na głos? Kurde. Ale po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że musiałam być w błędzie. Przecież Edwart miał perfekcyjne uzębienie.

Poderwałam się z krzesła tak szybko, że chyba mój rozkołysany koński ogon chlasnął Edwarta po twarzy. Podeszłam do stolika narzędziowego, przy którym się zatrzymał, żeby wyjąć ze słoika garść landrynek, które właśnie wsypywał do swego plecaka. Przekrzywiłam głowę...

...i następną rzeczą, jaką ujrzałam, były twarze pochylające się nade mną pana Franklina oraz Lucy.

- Jak się macie - zagadnęłam.

- Belle, ty upadłaś! - wykrzyknęła Lucy z zazdrością w głosie.

- Niemożliwe.

- Ależ tak, Belle. Potknęłaś się o nogę swojego krzesła. Byłaś nieprzytomna przez kilka sekund - wyjaśnił pan Franklin.

- Nic z tego.

Biolog wyprostował się i kolistymi ruchami potarł skronie, jak gdyby palcami kreślił na nich kółka.

- Dobry Boże... - mruknął. - Czemu właśnie dziś? Edwart! - zawołał. - Przerabiałeś już te zajęcia na lekcjach dodatkowych, więc bądź uprzejmy odprowadzić teraz Belle do gabinetu lekarskiego.

- Przepraszam za spóźnienie, panie Franklin, ale Zespół



Wyzwań Federalnych potrzebował zastępstwa, dlatego...

- Mniejsza z tym - przerwał mu biolog. - A ty, Belle, lepiej nie mów nikomu, czym się zajmujemy na dzisiejszej lekcji...

Popatrzyłam mu prosto w oczy. Musiał być swego rodzaju szalonym naukowcem, skoro prowadził potajemnie doświadczenia!... Gdyby nie wypaliło mi z Edwartem, zawsze mogłam zostać jego Igorem, żeby wykopywać kości spod ziemi i uczyć angielskiego za marne grosze.

- Dobrze - odparłam, puszczając do niego najpierw jedno oko, a zaraz potem drugie, by dać mu do zrozumienia, że może na mnie liczyć.

- Pójdę sama! - syknęłam z urazą w głosie do Edwarta i na czworakach wyszłam z klasy na korytarz.

- Dasz radę ją ponieść, Edwart? - zapytał zatroskany pan Franklin.

- Przecież słyszał pan, najwyraźniej czeka na jeszcze silniejszego faceta - odparł ten, krzyżując ręce na piersi i pochylając się nisko, żebym dała radę wleźć mu na barana.

Sprężył się, gdy wplotłam palce w jego włosy, jakbym zaciskała dłonie na lejcach, i wbiłam mu pięty w boki. A chwilę później zemdlał.

- Edwart? - mruknęłam zdumiona, dźgając palcem skuloną postać pode mną. - Wszystko w porządku? Może lepiej ja cię zaniosę do gabinetu lekarskiego?

- Nie! Dam sobie radę! - oznajmił, podrywając się na nogi.

Błyskawicznie dźwignął z ziemi całe moje cztery kilogramy - i może jeszcze ze dwadzieścia deko, dawno się nie ważyłam - i ostrożnie wyniósł mnie z klasy na korytarz.

- Tylko spokojnie, Edwart, krok po krocisku - mamrotał do siebie bez przerwy, cichutko, jakby nie chciał mnie wybudzać z lekkiej drzemki. - W porządku. A teraz już tylko pół kroku po pół kroku.

Wtuliłam głowę w jego muskularne, lekko przepocone ramię i poczułam, że coś muska mnie po włosach. Chwilę później

zauważyłam, jak Edwart podtyka sobie kosmyk moich włosów pod nos, a następnie pozwala im się osunąć po swoich wargach. Świetnie wyglądał z długimi, gęstymi wąsami. Nagle puścił moje włosy, sięgnął do kieszeni po sztyft antybakteryjny do warg i gwałtownie posmarował nim sobie usta.

- A więc, Belle... masz jakieś zwierzęta domowe?

- Nie - odparłam smutno, przypomniawszy sobie legwana Jareda. Zostałam zmuszona, żeby odnieść go tam, gdzie go znalazłam, czyli do pracowni biologicznej pana Richa.

- Moja mama nie pozwala mi trzymać w domu żadnych zwierząt - rzekł Edwart. - I to nie dlatego, że uważa mnie za nieodpowiedzialnego. Po prostu sądzi, że jestem zbyt nerwowy, żeby się opiekować zwierzętami, i pewnie ma rację. Ale... - zawiesił na chwilę głos - ...odkryłem nietoperza w domu na strychu i schwytałem go w pułapkę. Szkoda tylko, że już był martwy.

Nietoperza? - pomyślałam z naciskiem. Więc może ma wściekliznę?!

Weszliśmy do gabinetu lekarskiego. Pielęgniarka okazała się starszą kobietą, która niewiele widziała bez okularów, ale wołała je nosić na szyi na kolorowym rzemyku. Podniosła głowę znad książki, którą czytała, to znaczy znad *Full Moon*, i rzuciła:

- Chwileczkę, tylko dokończę rozdział.

Oboje z Edwartem zaczekaliśmy w spokoju.

- No, dobra - oznajmiła po chwili. - Wejdz tutaj i połóż ją na leżance, a ja przygotuję okład z lodu.

Edwart położył mnie na leżance, ale pielęgniarka od razu przeprowadziła mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie stały obok siebie dwie leżanki. Popatrzył ze smutkiem, jak kładę się na pierwszej z nich, wyciągając ręce w moim kierunku. Kiedy pielęgniarka się odwróciła, pospiesznie zamaskował ten odruch, udając robota.

Gdy zostałam już właściwie ułożona, czekał jeszcze przez jakiś czas, sprawiając wrażenie gwiazdy reklamówek tłumaczącej

realizatorowi, co się przydarzyło jego bratu, kiedy właśnie palił trawkę.

- Naprawdę nie masz się gdzie podziać? - zapytała pielęgniarka po paru minutach.

- Nie mam.

- Chwileczkę - rzuciła pospiesznie. - To ty jesteś Edwart Mullen? Od tygodnia codziennie wzywałam cię do gabinetu! Musisz zrobić prześwietlenie przed wyjazdem do Transylwanii.

- Wykluczone! Nie życzę sobie żadnych prześwietleń! Musiała mnie pani pomylić z kimś innym! Na pewno chodziło pani o innego chłopaka, dużo większego i odważniejszego, który ma normalne imię!

Obrócił się na pięcie i wybiegł z gabinetu. Pielęgniarka w pierwszej chwili chciała pobiec za nim, ale zaraz zrezygnowała, westchnęła ciężko i wróciła do czytania swoich kart.

Wykręciłam szyję, żeby spojrzeć, jak Edwart zniknął za rogiem, gotowa w każdej chwili zeskoczyć z leżanki i pobiec za nim na zajęcia. Transylwania, ta jedna myśl kołatała mi się w głowie podczas powrotu do klasy. Bo niby czemu ta okolica wydawała mi się tak znajoma? Nagle mnie olśniło: A może Edwart jest studentem z wymiany zagranicznej?!

Zajrzałam do naszej klasy przez szybę w drzwiach. Siedział na swoim miejscu, obok mojego pustego krzesła. Właśnie wtedy do mnie dotarło, że nie mają znaczenia dane, jakie wpisywał w sieciowych formularzach, nie liczyło się to, czy ma 180, czy 190, jak podawał, centymetrów wzrostu - i tak uwielbiałam jego ponadludzkie wymiary.

Po powrocie do gabinetu pielęgniarki niepostrzeżenie podłożyłam teczkę z wynikami medycznymi Edwarta do przegródki zatytułowanej „Dane szczególnej uwagi”. Obawiałam się tego, co przede mną ukrywał za zasłoną alergii na wiele różnych rodzajów żywności. Kim był naprawdę? Trzeba było się nad tym poważnie zastanowić. Usiadłam na podłodze i przyjąłam pozę medytacyjną, z dłońmi skierowanymi ku górze i

umieszczonymi na kolanach, po czym zaczęłam mrużyć:

- Uhhmm...

W głowie krzyżowały mi się elektryzujące myśli: czerwona materia w ustach Edwarta, jego spóźnienie na zajęcia z biologii obejmujące analizę krwi, nietoperze, wreszcie Transylwania... To wszystko nie trzymało się kupy. Zamyśliłam się głębiej. Potem zrobiłam sobie krótką przerwę na sok jabłkowy firmy Odwalla i zamyśliłam się ponownie.

I oto nagle przypomniałam sobie ostatni wypadek, ciało Edwarta odporne na mróz oraz jego oczy, w których błyski zmieniły się nie pamiętam z jakiego koloru na zielone, i już wiedziałam: TAK! BYŁ WAMPIREM!

4. BADANIA

Po południu, kiedy wróciłam do domu, oznajmiłam tacie, że muszę rozwikłać sprawę zabójstwa, więc ma mnie zostawić w spokoju. Cieszyłam się, że minionego lata założyłam agencję detektywistyczną „Belle Goose na tropie”. Zrobiłam parę latawców z moją podobizną na tle sylwetki Sherlocka Holmesa, które wypuściłam w powietrze wokół Phoenix. Niestety, dostałam tylko jedno zlecenie: dotyczące bezprawnego zaśmiecania okolicy odrażającymi latawcami. Sprawca do dziś nie został zidentyfikowany.

Trzasnąwszy drzwiami swojego pokoju, co miało sugerować, że jestem na świeżym tropie jakiegoś przestępcy, zaczęłam przerzucać nierozpakowane jeszcze rzeczy, dopóki nie znalazłam płyty CD z nagraniem śmiechem hieny, którą dostałam od nowego męża mojej matki w dniu, kiedy zostawiłam ich samym sobie w Phoenix. Wtedy myślałam, nawet wbrew sobie, że zanadto się stara zjednać sobie mój szacunek. Teraz myślałam z ulgą tylko o tym, że to nagranie pozwoli mi zapomnieć o Edwarcie. Włożyłam płytę do odtwarzacza, nałożyłam słuchawki, położyłam się na łóżku i zakryłam głowę poduszką. Mimo to nie mogłam się uwolnić od myśli o ukochanym wampirze, dlatego też dodatkowo naciągnęłam na głowę parę walizek.

Jak tylko płyta dobiegła końca, uświadomiłam sobie, że nie

wytrzymam tego dłużej. Była pierwsza w nocy, a więc pora, kiedy zajmowałam się badaniami zjawisk paranormalnych. Miałam podłączony internet przez lokalną sieć puszkową, to znaczy taką, w której jedna puszka jest na wyjściu naszego komputera, a następna na wyjściu komputera sąsiadów, co na większą skalę układa się w internet. Trochę to potrwało, zanim inne komputery uzgodniły szyfr z naszym komputerem, zdążyłam więc pochrupać płatki śniadaniowe Count Chocula. Kiedy się z nimi rozprawiłam i nadal nie miałam dostępu do internetu, zaczęłam przemeblowywać pokój tak, żeby zrobić na złość tacie. Dostępu nadal nie było. Poszłam więc spać.

Dwa dni później uzyskałam dostęp do sieci.

Wpisałam w wyszukiwarce tylko jedno słowo: *wampr*. A Google mi odpisał: „miałeś na myśli «wampir»?

Nacisnęłam „Tak”.

Wyniki przyprawiły mnie o zawrót głowy: „Nosferatu”, „Letnie treningi Buffy”, „Pierwsza powieść Kristen Stewart”, „Kradzież *Słońca o północy*”, „Niesamowici Blues Singers wyłącznie dla Roberta Pattinsona”.

Dziwne. Co to wszystko miało wspólnego z wampirami? Wstałam od biurka lekko oglupiona rezultatami wyszukiwania zdjęć pięknych par, ewidentnie niebędących wampirami. Tego typu poszukiwania były bezowocne, bo pozostało mi do przejrzenia jeszcze sześćdziesiąt dwa i pół miliona wyników. Musiałam opierać się wyłącznie na zdobytej dotychczas wiedzy. Nagle pomyślałam: dlaczego nie miałabym się podzielić tą wiedzą z całym światem? Usiadłam z powrotem przed komputerem i weszłam na stronę Wikipedii poświęconą wampirom. Zaraz dodałam jedno zdanie do treści artykułu: „Edwart Mullen ze Switchblade w Oregonie jest wampirem, ale nie zabijajcie go, bo go kocham!”. Po krótkim namyśle dodałam zdjęcie przedstawiające mięśnie brzucha Edwarta.

Wspaniale, pomyślałam, wyłączając komputer. Uznałam, że jest to mniej więcej to samo co szczere wyznanie tacie, iż

zakochałam się w wampirze, tym bardziej że dokładnie monitorował moje surfowanie po internecie.

Nagle przypomniałam sobie piosenkę, którą zwykł śpiewać mi na dobranoc, kiedy byłam małą dziewczynką:

*Jeśli kiedykolwiek wpadnie mi
w oko wampir,
Zwabię go do samochodu
wskoczę za kierownicę
I wjadę tym samochodem
do jeziora,
A potem narzucę na niego
stertę kamieni.*

Urwałam piosenkę w pół słowa, uzmysłowiwszy sobie, że mój tata miałby zapewne kłopoty z Edwartem. No cóż. Powiem ojcu, że Edwart jest wampirem wegetariańskim, to znaczy żywi się wyłącznie keczupem.

Nazajutrz rano byłam już w drodze na zajęcia pierwszej klasy, gdy ktoś niespodziewanie złapał mnie z tyłu pod ramię i przypomniał mi o wicedyrektorze z Phoenix, który w podobny sposób brutalnie ściągnął mnie ze sceny podczas konkursu talentów. Do dziś nie potrafiłam rozsądzić, czemu moje wystąpienie zostało przerwane. Niemniej przyłgnęło do mnie określenie „BelGo” oznaczające niesamowitego rapera i break - dancera.

Odwrociłam się z wyczuciem, ale tutaj nie był to wicedyrektor Decherd, tylko Edwart.

- Och, czyżbyś chciał mi coś powiedzieć? - zapytałam z fałszywą skromnością.

- Tak, jasne. A kiedy to nie mówiłem do ciebie?

Przypomniałam sobie, że poprzedniego wieczoru raz za razem wydzwaniałam do niego, podając się za obwoźnego

sprzedawcę ostrzałek do kłów. Za każdym razem natychmiast odkładał słuchawkę. Zdecydowałam się nie wspominać o tym ani słowem.

- Wydobrzałaś wczoraj po tym, jak odprowadziłem cię do gabinetu pielęgniarki? - zapytał.

- Tak. A ty? - odrzekłam, zakładając, że wampiry także są zdolne do nieznośnych cierpień duchowych.

- Chyba też.

- To świetnie. Do zobaczenia! - Odwróciłam się szybko, żeby miał jeszcze okazję podziwiania mnie od tyłu.

A miałam, specjalnie dla niego, we włosach spinki z wizerunkami czaszek (mam mnóstwo biżuterii nawiązującej do Halloween. Wszystko zaczęło się od zarazy, która tego lata spadła na moje akwarium. I jeszcze przed jesienią zainteresowałam się wycinanymi ze sklejki rybimi szkieletami do samodzielnego montażu).

Wchodząc na lekcję angielskiego, ćwiczyłam jeszcze moje filmowe gesty dłoni.

- To miło, że do nas dołączyłaś, Belle - powitał mnie pan Schwartz.

- Owszem - mruknęłam, uświadamiając sobie, że mogłabym w tej chwili być gdziekolwiek indziej, choćby nawet w grobowcu z Edwartem. - To faktycznie miłe z mojej strony.

Obróciłam swoją ławkę przodem do okna, żebym była wśród pierwszych, którzy ogłoszą zbliżanie się planetoidy. Szczerze mówiąc, moim zdaniem tradycyjne ustawienie wszystkich ławek przodem do tablicy stwarza realne zagrożenie. Bo niby kto ma pilnować pozostałych trzech flank? Nauczyciel? Chyba nie, skoro stale jest zajęty pouczaniem mnie, żebym odłożyła lornetkę i przestała go uciszać, ilekroć zaczyna coś mówić.

Popatrzyłam przez okno na piękny, przepiękny deszcz. Na parkingu stała jakaś postać z ramionami wyciągniętymi w górę, ku niebu. Edwart. W jednym ręku trzymał kostkę mydła, którą uniósł teraz do twarzy, zaczął się energicznie namydlać. Po

chwili cisnął mydło w kałużę i uniósł twarz do zaciągniętego cumulonimbusami nieba, żeby obmyć ją w strugach deszczu. Jednocześnie zaintonował starą pieśń przeznaczoną wyłącznie dla jego uszu. Wyciągnął z plecaka laptop zapakowany w torbę foliową. Z kieszonki na piersi wyjął niewielkie etui, po czym wypakował z niego i zaczął rozstawiać średniej wielkości składaną antenę satelitarną z napisem na misce: „Datastorm”. Wdrapał się na dach samochodu, opuszczając plastikową osłonę twarzy, po czym przystąpił do rozstawiania anteny satelitarnej.

Serce we mnie zamarło. Czyżby zamierzał wyruszyć w pościg za burzą? Przy takiej pogodzie? Kiedy tylko ustała poranna mżawka i zaświeciło słońce, odjechał swoim autem w nieznaną. Należał do ryzykantów, tyle że teraz był moim ryzykantem.

Przesunęłam lornetkę z okna na plakat Forbesa przedstawiający dziesięć najważniejszych obrazów olejnych dotyczących *Jane Eyre* i od razu podchwyciłam mamrotanie Angeliki. Cały dowcip siedzenia w jednej ławce z Angelica polegał na tym, że była cichą dziewczyną, jedną z tych, które z radością przyjmują stanowcze polecenia i zawsze się z tobą zgadzają, ilekroć twój głos osiągnie określone spektrum częstotliwości. Ale tego dnia najwyraźniej nie zamierzała przestać biadolić na temat tego, kto i o co się troszczy. Od razu wyłapałam w jej głosie charakterystyczne dołujące tony, które u mnie pojawiały się wyłącznie w reakcji na szok. Pokiwałam ze współczuciem głową, chcąc jej dać nauczkę.

I nagle uprzytomniłam sobie, że ona tylko robi zadymę.

- Przepraszam! - wycedziła po dłuższej chwili, uwolniwszy się od natrętnej czkawki.

- Nic nie szkodzi - odparłam pobłażliwie, myśląc, że i tak wolę Angelicę od Lucy, która nigdy za nic nie przeprosza.

Angelica była bez dwóch zdań lepszą przyjaciółką, chociaż w najmniejszym stopniu nie nadawała się na najlepszą przyjaciółkę. Prawdziwie najlepsza przyjaciółka byłaby

zadowolona, mogąc zademonstrować taki atak przede mną, i powstrzymałaby się od śmiechu, gdybym jednak odważyła się ją małpować cierpko i epileptycznie.

Tymczasem Angelica niespodziewanie uniosła oczy do nieba.

- WIDZĘ SALEĘ W ROZDZIALE DZIESIĄTYM - wycedziła chrapliwym głosem z przyszłości. - SALEĘ PEŁNĄ WAMPIRÓW. W ROGU STOI METALOWE SKŁADANE KRZESEŁKO Z CZERWONYM SIEDZENIEM... NA KOŃCACH TRZECH NÓG MA CZARNE GUMOWE NAKŁADKI ZABEZPIECZAJĄCE PRZED ZGRZYTANIEM O PODŁOGĘ. NA CZWARTEJ JEJ NIE MA. TEORETYCZNIE MOŻNA BY SIĘ NA NIM POBUJAĆ W TYŁ I W PRZÓD, ALE ODRADZAŁABYM TO. WYSTRZEGAJ SIĘ KORONY - zakończyła, po czym padła na podłogę.

Czy to był omen? O ile się orientowałam, tylko wampiry i dziewczęta dobrze znające najważniejsze dzieła Jane Austen odznaczały się takimi wyjątkowymi zdolnościami. W każdym razie nie mogłam zrozumieć, czemu miałabym się wystrzegać korony, a wraz z nią możliwości władania całym narodem z wygodnego tronu. Zawsze skłaniałam się ku dyplomacji, nawet w takich grach jak *Risk*, ogłaszając wstrzymanie ognia wszystkich stron konfliktu poprzez wyciągnięcie miecza z blatu stołu.

- To bardzo ważne, Angelica - powiedziałam, kiedy się ocknęła z zamroczenia. - Czy widzisz Edwarta w tej sali pełnej wampirów?

Otoczała nas już cała klasa, wznosząc okrzyki: „Dajcie jej więcej powietrza!” - jak gdyby to powietrze było jakimś cudownym darem, z którego nikt nie potrafił sam skorzystać.

- Och... Chce mi się spać... - mruknęła Angelica.

Szczyry. Musiała wrócić do swego normalnego stanu.

- Czy „wampiry” znaczą to samo co „Edwarty”? - zapytałam.



- A „korona” ma być symbolem „zatrutych orzechów wyglądających jak rodzyunki, które i tak wybierasz z platków śniadaniowych, więc nie musisz się o nie martwić”?

Ale Angelica nie zwracała już na mnie uwagi.

- Zmęczone usta - szepnęła, kiedy szkolna pielęgniarka układała ją na noszach przed zabraniem do gabinetu.

Zatem czego miałam się strzec? Czyżby Edwart zamierzał mnie skrzywdzić? To dlaczego nie skrzywdził mnie do tej pory? Czyżbym nie była warta nawet takiego wysiłku z jego strony?

Nie. Przede wszystkim byłam źle chroniona. Musiałam być warta każdego wysiłku, który miałby doprowadzić do skrzywdzenia mnie, zwłaszcza w starej sali baletowej z potrzaskanymi lustrami, gdzie łatwo było zakończyć ten brutalny spektakl. Nawet jeśli Edwart sądził, że nie jestem tego warta, z całą pewnością jakiś inny wampir powinien się skusić.

Przed zejściem na lunch wyjrzałam na parking przed szkołą, by się upewnić, że van Edwarta stoi na swoim miejscu. I wydałam z siebie najdłuższy, najbardziej gardłowy jęk przygnębienia, kiedy obiegłam liczący pięćset miejsc plac i nigdzie nie dostrzegłam jego wozu. Przyszło mi na myśl, żeby wracać do domu - bo czyż edukacja miała jakiegokolwiek znaczenie wobec perspektywy śmierci? I nagle rozległ się w mej głowie głos - basowy i melodyjny, nucący Schuberta - czyli mój własny głos związany z *halucynacjami dotyczącymi Edwarta*.

Podobnych halucynacji doświadczałam wtedy, gdy ściśle wiązałam moją przyszłość z Nagrodą Nobla w dziedzinie fizyki.

- Wybacz - zaintonował śpiewnie głos. - Mam paskudny zwyczaj odwoływania się do Schuberta w krytycznych chwilach, co jest jedną z wielu rzeczy, których się nauczyłem podczas mistycznych podróży po Włoszech. Belle, najpierw musisz zrobić maturę - ciągnął głos harmonijnym tonem. - Zdam ją choćby tylko ze względu na mnie - ścichł nagle, przechodząc w prostą melodyjkę kapeli indie rocka Claire De Lune.

To przesądziło sprawę. Nie byłam pewna, jakiego rodzaju

„karierę” może mi przybliżyć wykształcenie, której nie zdołałabym zrobić, wykorzystując swój pacynkowy taniec i nieustępliwość, musiałam jednak wierzyć w szósty zmysł. Czyż sama nie doznałam wizji możliwego upadku, kiedy przed paroma dniami się pośliznęłam? Niemniej, zdeterminowana, postanowiłam oddać życie w ręce niepewnego wytworu mojej wyobraźni i ukończyć szkołę średnią.

Następnego dnia w stołówce zorganizowano Wystawę Działalności Pozaszkolnej. Każdy stolik został przekształcony w stanowisko przyozdobione odpowiednim plakatem. Mnie spodobał się zwłaszcza ten, który głosił: „Nastolatki przeciwko faszyzmowi”. Pomyślałam, że te nastolatki musiały być szczególnie oddane swoim ideom, skoro zdecydowały się użyć strzępiących nożyczek. Być może nie przykładałam do faszyzmu takiej uwagi, na jaką zasługiwał.

- Belle!

Podniosłam wzrok. Lucy stała przy plakacie „fanów *Buffy*, *postrachu wampirów*”.

- Dołącz do nas!

- Nie, dziękuję - odparłam lodowato.

Jednakże wcale nie byłam jej wdzięczna, co, jak sędzę, dałam wyraznie do zrozumienia swoim tonem. Nie miałam najmniejszej ochoty wspierać przedstawienia zachęcającego do ludobójstwa i tak zagrożonego już wymarciem gatunku istot nieśmiertelnych. Zdecydowałam się wykorzystać „moc zmarszczonych brwi”. To używana w towarzystwie metoda powstrzymywania ludzi przed dogmatyzmem; zmarszczeniem brwi reaguje się na ich ignoranckie uwagi. Podeszłam bardzo blisko, spjrzałam plakatowi prosto w oczy i zmarszczyłam brwi, aż poczułam, jak potęga moralnego zwycięstwa zaczyna krążyć w moim krwiobiegu. Zerwałam ten plakat, odwróciłam go, narysowałam trupią czaszkę z pieszczelami, po czym porwałam go na strzępy. Mogłam zostać stołowo - wystawowym piratem. Kto

pierwszy miał się zapoznać z moim sprytem?

Wypatrzyłam stół, nad którym wisiał plakat z napisem: „Uroki elastyczności cenowej i darmowa pizza!”. Brzydziłam się urokami elastyczności cenowej, ale nie miałam nic przeciwko darmowej pizzy. Zaczęłam się przesuwać w tamtym kierunku, żeby podkraść kawałek, kiedy nagle rozpoznałam gospodarza tego stanowiska. Wrócił Edwart!

- Belle? - zagadnął, ujrzawszy moją rękę, kiedy ostrożnie próbowałam zwięździć kawałek pizzy ze swojej kryjówki pod stołem.

- Co? Ach... Edwart. Nie poznałam cię. Dzięki za pizzę! Posłuchaj, chętnie przyłączę się kiedyś do twojego klubu, ale na razie mam pilne sprawy. Wznies jakiś toast za Jima. To idiota!

- Zaczekaj! Jeśli lubisz pizzę, spodoba ci się w Klubie Elastyczności Cenowej mającym na celu dostarczanie darmowej pizzy tym uczniom, którzy zechcą się zapoznać z reklamami na stronie internetowej przygotowanej przeze mnie na zajęcia z ekonomii.

Obrzuciłam go podejrzliwym spojrzeniem. Jeśli nie liczyć błota na twarzy i urwanej prawej nogawki spodni, wrócił z pogoni za burzą w doskonałej kondycji.

- Wyjaśnij mi coś, panie Chłopcze Internetowy - powiedziałam, krzyżując ręce na piersiach. - Jak to jest, że ty, rzekomo całkiem śmiertelny, wróciłeś tutaj bez samochodu?

- Musiałem poświęcić samochód dla wyższych racji. - Jego twarz zachmurzyła się mgłą idealizmu. - Zamulonego rowu melioracyjnego biegnącego tuż za terenem szkoły. Musiałem zjechać do tego rowu, żeby nie dopadła mnie złowieszczą chmura. Nikt mnie nie uprzedził, że trudno będzie się wcielić w rolę amatorskiego meteorologa komuś, kto ma raczej zdolności do powolnego gromadzenia funduszy startujących od 0,0001 centa za udostępnianie miejsca sieciowym reklamodawcom. Zresztą nikt w ogóle nie udziela rad tego typu osobom.

- Co miałabym robić, gdybym przystąpiła do twojego klubu?



- zapytałam podejrzliwie, gdyż zwróciłam uwagę, że z wielką wprawą pominął kwestię niepożądanych efektów, jakie na popyt konsumencki wywierała jego propaganda.

- Naprawdę zamierzasz przystąpić do mojego klubu? Rety. Jak dotąd jeszcze nikt nie wykazał zainteresowania moim podejściem do elastyczności cenowej. Do niedawna sądziłem, że pozostanę sam na sam z elastycznością cenową w opozycji do całego świata. To wszystko dzieje się tak szybko... Nie wiem nawet, czym miałyby się zająć druga osoba należąca do mojego klubu. Pozwól, że się nad tym zastanowię. - Zaczął krążyć za swoim stołem, a każdy jego ruch był nacechowany podnieceniem.

A może to ja po prostu za szybko mrugałam powiekami? - Już wiem! Będziesz musiała spędzać każdą przerwę na lunch ze mną...

- Dobrze.

- ...na gromadzeniu majątku.

Uff. Gdyby tylko istniała możliwość cofnięcia się o kilka zdań... Gdybym wcześniej się zgodziła, kiedy tamten naukowiec zaproponował mi drugi egzemplarz swojej maszyny czasu.

- Pod koniec roku wykorzystamy zgromadzony majątek na próbę nawiązania łączności z głębinowymi waleniami. - W jego oczach rozbłyły skry maniackiej determinacji. - Jestem pewien, że prawda spoczywa w głębinach.

Był tak idealny, że aż serce bolało.

- Więc mam tylko tu podpisać? - zapytałam.

- Tak... tuż pod zapisem „Wyżej wymieniony Edwart bierze w posiadanie duszę”.

- Dobra!

Wpisałam swoje imię:

B - e - l - l - e



Obróciłam kartkę, żeby mieć więcej miejsca, i wpisałam nazwisko maczkiem:

Goose

- Proszę - rzuciłam, kończąc ostatnią literę fantazyjnym zawijasem, który nie zmieścił się na kartce, musiałam go więc dokończyć w powietrzu, chcąc dopełnić formalności. Pomyślałam zarazem, że sprawą zaprzędania duszy będę się martwić, kiedy przyjdzie na to pora.

- Belle! - wykrzyknął ktoś od sąsiedniego stanowiska.

To była Laura - dziewczyna, która codziennie siadała naprzeciwko mnie podczas lunchu, dzięki czemu zyskała ten przywilej, że zapamiętałam jej imię. Angelica zapisywała się właśnie do tamtego klubu, a Lucy składała podpis na pustej kartce, nie chcąc dłużej czekać na swoją kolej. Odznaczała się szczególnym brakiem cierpliwości.

- Wstąp do naszego klubu zakupowego. Organizujemy pierwsze spotkanie jeszcze dzisiaj po szkole! - dodała któraś z nich, choć to nie miało znaczenia która, gdyż były w pełni wymienne.

- Nie, wstąp do naszego klubu - odezwał się Tom od kolejnego stolika. - To męski klub: „Kopmy Boks”. Uważamy cię za chłopaka, bo jesteś taka prostolinijna i opanowana.

Nie do wiary. Traktowali mnie jak chłopaka. A więc w końcu mi się udało.

- Czemu poświęcony jest „Kopmy Boks”? - zapytałam.

- W każdy piątek wieczorem na zmianę wciskamy się do boksu, podczas gdy inni chłopcy go kopią.

- Chętnie w to zagram - odparłam, żeby zrobić im przyjemność. Mnie samej sprawiło to przyjemność. Nawiazywanie kontaktów towarzyskich to najprostszy sposób na spłacenie długu wobec społeczeństwa.



- Murp - murpnął Edwart.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego. Nerwowo owijał wokół palca róg koszuli i przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą, demonstrując powszechnie znany zwyczaj z epoki wiktoriańskiej.

- O co chodzi, Edwariarcie? - zapytał Taylor. - Czyżbyś w końcu przekształcił się w jedno ze swoich małych urządzeń?

Laura zachichotała, jakby się spodziewała, że powrót Edwarta będzie komiczny, i ani trochę się nie zawiodła.

- Belle nie może wstąpić do waszego klubu - odparł, jeszcze bardziej komicznie. - Piątkowy wieczór to ta pora, kiedy będziemy nawzajem czytać swoje reklamy, stanowiące najżywotniejszą część działalności Klubu Elastyczności Cenowej.

- Świetnie - rzekł Adam. - Belle na pewno będzie wołała w ten piątek czytać twoje reklamy, zamiast wybrać się do Las Vegas z męskim klubem „Wieczóór Kawalerski”.

Edwart warknął złowieszczo i zrobił minę skrzywdzonego szczenięcia, której po prostu nie mogłam się oprzeć.

- Wydaje mi się, że wstąpię jednak do klubu zakupowego - odparłam zrędliwie. Kurde. Co to miało być? Scena z filmu Judda Apatowa? Powlokłam się po formularz Laury. Byłam przekonana, że ona nie ma nawet pojęcia, co to są *Gwiazdne wojny*, jak choćby w tej scenie z *Wpadki*...

- Największą zaletą członkostwa w dziewczęcym klubie... - podjęła Laura, gdy podpisywałam formularz, mamrocząc pod nosem przypadkowo dobierane słowa z mojego wkurzownika - jest możliwość lepszego wzajemnego poznania. Co tydzień będę przedstawiała nowe pytanie. W ubiegłym tygodniu brzmiało ono: Która z Laury opasek na głowę jest najładniejsza? W tym tygodniu jest to pytanie: Który humanoid z Federacji ma największe szanse zostać najpopularniejszym przywódcą politycznym. Powtarzam: który ma największe szanse. - Odgarnęła włosy do tyłu dwuwymiarowo.

- Pewnie Betazoid - odparłam, chociaż cała ta dyskusja była

lipna, ponieważ ludzie nie mieli szans pozbyć się swojej ksenofobii uniemożliwiającej im oddanie władzy wykonawczej w ręce kogoś niebędącego człowiekiem, a o wyborze androidów na jakiegokolwiek stanowisko można było zapomnieć z powodu nagonki mediów. Dlaczego Laura zadawała tak głupie pytania? Wbiłam wzrok w czubki moich butów, cierpiąc w milczeniu. Zbratanie się z takimi małomiasteczkowymi panienkami wyglądało na niemożliwe.

- Hej, Edwariarcie. Chcesz kawałek czosnkowej czekolady? - zapytał Adam, wymachując mu przed nosem batonikiem Hersheya.

- Faj, ordynusie. Zabieraj ode mnie ten czosnek! - syknął Edwart.

- Spokojnie, to tylko batonik Hersheya. - Adam oddalił się krokiem zdecydowanie mniej męskim od nieobliczalnego młócenia powietrza przez Edwarta. Ja jednak nie zamierzałam tego tak zostawić. Może gdyby Edwart zrozumiał, ile już wiem, zechciałby wyjawić mi swój sekret.

- Zaczekaj - rzuciłam, chwytając Edwarta za głowę. Musiałam cierpliwie poczekać, aż jego oddech wróci do normy po tym, jak go dotknęłam. - Jedynymi ludźmi, którzy stronią od czosnku, są...

- Może lubię czosnek, a może nie. W każdym razie nie próbowałam go jeszcze i nie zamierzam tego zrobić dzisiaj. To samo się tyczy awokado.

Wyrwał się i uciekł, zanim zdążyłam go przywiązać do tablicy, żeby wypytać o coś więcej.

5. ZAKUPY

- Co myślisz o tej sukience, Belle?

Siedziałam na twardym drewnianym krzeselku przed przymierzalnią sklepu odzieżowego, otoczona zewsząd przez prawdziwe potoki przelewającego się złota, i spoglądałam ze zdumieniem, jak moje koleżanki się łamią, jedna po drugiej, oferując swoje ciała żywicieli tym pasożytom: sukienkom wyjściowym. Ze smutkiem uzmysłowiłam sobie, że jest to nieuchronne. Byłam gotowa na wszystko, byle tylko chronić własny gatunek.

- Bardzo mi pochlebiasz, Lucy - powiedziałam ostrożnie, od razu ujawniając, jak wiele wiem.

- O co tu chodzi? - odezwała się Angelica.

- O coś, co wypłucze ci szarą substancję z twojego mózgu - odparłam w sposób tak naturalny, jakbym bezpośrednio w tym uczestniczyła.

Angelica zmarszczyła brwi i obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. *Jej pasożyt już się na mnie zasadzał.* Musiałam działać szybko.

- Angelico, czy mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie, gdyż ufam ci jak serdecznej przyjaciółce?

- Jasne.

Próbowałam gorączkowo wymyślić, o co mogą pytać serdeczne przyjaciółki.



- Martwiło cię kiedykolwiek, że liczba białych krwinek w twojej krwi jest niższa niż u reszty przyjaciółek? Twój układ odpornościowy jest niby w porządku, tylko czy na pewno nie mógłby być lepszy?

W zakłopotaniu pogmerała palcami przy pasku. Moja taktyka sprawdzała się doskonale. Postanowiłam szybko trafić ją kolejnym trudnym pytaniem i zmusić pasożyta do wycofania się przed potęgą ludzkiej dysputy.

- Czy to nie dziwne, że dziewczęta z ostrymi kłami są pięćdziesięciokrotnie bardziej atrakcyjne dla mężczyzn od tych, które mają kły krótkie i zaokrąglone? I jak się to przekłada na postęp ewolucyjny? Czyżby mężczyźni z ostrymi zębami czuli się pewniej z trudną do zgryzienia zdobyczą?

- Edwart ma ostre zęby? - zapytała Angelica.

Pozostałe dziewczęta zachichotały.

- Co ci się skojarzyło? Kto tu mówi o Edwarcie? Użyłam słowa *ewolucyjny*, powiedziałam *postęp ewolucyjny*, a nie *postęp Edwarta*. Jezu. Jesteś zazdrosna o niego czy co? Uważasz go za przystojniaka? Bo ja nie.

- Może nie jest przystojny, ale miły. To naprawdę sympatyczny chłopak.

- To wcale nie jest sympatyczny chłopak! - wykrzyknęłam. - To bardzo niebezpieczny facet!

Dziewczęta wymieniły spojrzenia. Najpierw Lucy strzeliła złowieszczym wzrokiem ku Laurze, ta zaś odpowiedziała spojrzeniem typu „a nie mówiłam” w stronę Angeliki, która popatrzyła na nią spod zmarszczonych brwi.

- No cóż, rzeczywiście jest dziwnie małowówny - przyznała Laura, sprytnie rezerwując dla siebie pozycję wygadanego, ale niewampirycznego uczestnika dyskusji. - To zdumiewające, że ludzie nie wykrzykują przypadkowych słów i w połowie ukształtowanych twierdzeń, jakie wtłacza im się do głowy. Aż przeszywa mnie dreszcz, gdy o tym pomyślę.

- Zgadzam się - wtrąciła Lucy. - Słyszałam, że w ostatniej

klasie podstawówki silniejsi chłopcy regularnie wyżywali się na Edwarcie, i to dzień po dniu. Kiedy pewnego dnia podjął decyzję, że starczy tego, w jednej chwili: *bum!*, dostał od silniejszego chłopaka jeszcze mocniej niż dotychczas. Po tym incydencie na jakiś czas zniknął gdzieś w meandrach opieki zdrowotnej, bo nie potrafił się odegrać, co nie? - Teatralnie napięła biceps, co miało sugerować, że Edwart po prostu nie mógł oddać ciosu, gdyż każdy wysiłek tej miary mógł go doprowadzić do śmierci. - Oczywiście - dodała - cała ta historia to pewnie zwykła bajeczka.

- Jasne - przyznałam ochoczo. - To zwykła bajeczka.

Mimo wszystko nie mogłam zapomnieć ostrzeżenia Angeliki, kiedy łąpała już ostatnie tchnienia i nie panowała nad podstawowymi odruchami. „Strzeż się korony”. Czyżby chodziło jej o koronkę dentystyczną? Czyżby Edwart nie mógł kasać tak jak wszystkie wampiry, gdyż dentysta usunął u niego kilka problemów natury kosmetycznej? No cóż, powinnam utrwalić tę opinię i umieścić ją w dziale zatytułowanym „powody, dla których umawianie się z Edwartem należy do sportów ekstremalnych, a więc stanowi legalną alternatywę szkolnej gimnastyki”.

- Więc który sklep następny bierzemy na celownik? - zapytałam, gdy wychodziłyśmy z pasażu handlowego. Po drodze zwróciłam uwagę na sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego i zaciekawiłam się, czy będzie tam książka kucharska dla wampirów. Znalazłam się w zabawnej sytuacji, gdyż martwiłam się o to, czy Edwart jest wampirem, a nie miałam nawet pojęcia, czym wampiry się odżywiają.

- Każdy, w którym sprzedają suknie balowe - odparła Lucy. Zatrzymałam się jak wmurowana.

- Rety, chwilunia... - rzuciłam, zakotwicząc obcasy swoich butów w płytach chodnikowych, żeby wzorem Scooby Doo błyskawicznie wyhamować pęd, tyle że nikt mnie nie ciągnął za sobą, wyszło więc na to, że próbuję się ślizgać na piętach. - W sklepach odzieżowych nie sprzedają książek.

- Dzisiaj kupujemy tylko ubrania - odparła Angelica takim tonem, jakim przed wiekami mówiło się dzień dobry wścibskiemu sąsiadowi.

- Ale ja nie mogę dłużej łączyć po sklepach z ciuchami. Mam sylwetkę typowej modelki zdolnej reprezentować milion trzysta tysięcy proporcjonalnie zbudowanych dziewcząt. Muszę się starać, aby im udowodnić, że życie nie ogranicza się do wystrzałowych ciuchów. Ważne są także powieści. Głównie romantyczne, nadające się dla każdego rodzaju uwielbianego potwora.

- Świetnie - podchwyciła Lucy. - Zatem się rozdzielmy. My we trzy pójdziemy dalej przymierzać ubrania w pełnym blasku jupiterów w przepelnionym centrum handlowym. A ty, Belle, pokręć się dookoła i poszukaj czegoś do czytania w tonących w półmroku zaułkach.

- Doskonale! Zatem spotkamy się później - rzuciłam.

- W porządku. Spotkamy się tutaj za jakiś czas!

Zacząłam przeczesać kolejne alejki w poszukiwaniu czegoś do czytania, ale bezskutecznie. Zawiódł mnie nawet duży sklep spożywczy, i to takiego rodzaju, w którym powinno się znaleźć przynajmniej parę gatunków wina z ciekawymi opisami na naklejkach. Tutaj wszystko było przedstawione w piktogramach.

Chciałam się już poddać, kiedy spostrzegłam błyszczący wóz rajdowy z dachem usianym antenami. Coś w tym obrazku wzbudziło we mnie bardzo silne emocje... nabrałam wielkiej ochoty wzięcia go na hol. A musicie wiedzieć, że nic mnie tak nie wkurza jak niewłaściwie zaparkowany wóz, który można odholować. Spisałam sobie numer rejestracyjny, zanim weszłam do znajdującego się po prawej sklepiku „Gry komputerowe i elastyczność cen dla łowców burz”. Przemknęło mi przez myśl, że ktoś musiał dzisiaj odczuć na własnej skórze lodowate tchnienie sprawiedliwości.

- Czym mogę służyć?



Pomarszczony staruszek z cuchnącym oddechem i wielkim, pomarszczonym kulfoniastym nosem zajrzał mi prosto w twarz. Zrobiło mi się go żal. Było zdecydowanie za późno, żeby jego życie wywarło jakikolwiek wpływ na moje, czyli życie Belle Goose, opiekunki do dzieci, mającej certyfikat Czerwonego Krzyża.

- Czy przypadkiem macie jakieś gry symulujące kontakty z wampirami? - zapytałam, chcąc popatrzeć na świat oczami Edwarta. - A konkretnie, czy macie jakiegokolwiek gry symulujące kontakty z Edwartem Mullenem?

- Cóż, nie znam się na tych najnowszych, ale tych wcześniejszych mamy pod dostatkiem. Mamy symulację wampira czyhającego pod wiekiem trumny, wampira przerażonego wymową twojego krucyfiksu, wampira złaknionego twojej ludzkiej krwi, wampira zdezorientowanego ponadprzeciętnym wyglądem, ale poza tym przywiązanego do typowego przeciętnego zachowania...

- Och! Właśnie na takim mi zależy! O takie coś mi chodzi!

- Jak sobie życzysz. Bądź uprzejma usiąść i zaczekać, a ja dopasuję ci trójwymiarowe gogle.

- Zakładam, że te gogle zabezpieczają też przed ucieczką ducha wampira, kiedy już wniknie do ludzkiej postaci - powiedziałam, naciągając gogle na głowę i dopasowując gumę ściągającą.

- Przez nie wszystkie zielone rzeczy będą miały czerwonawą poświatę.

- W porządku. I to dzięki drobnemu druhowi, o tutaj, ich użytkownik przekształca się w wampira?

- Owszem, choć to zależy od obranej postaci. Pozwól, że zaproponuję ci rolę Yoshi, ujmującego słabeusza pośród uzbrojonych po zęby nadzianych gości.

- Tak, pewnie, jakżeby inaczej - odparłam, uzbrajając swoją wampirzą postać w ręczną wyrzutnię pocisków rakietowych.

Jak tylko rozpoczęła się symulacja, poczułam, że cała skóra

mi cierpnie, a włosy zaczynają się pięknie układać. Zęby mi się natychmiast wyostrzyły, a krew się zmroziła. Nie wiadomo skąd naszło mnie niezaspokojone pragnienie. Nienasycona chęć na magnez.

Nie, to nie było tylko to. Łaknęłam krwi.

Szarpięciem odsunęłam zasłonkę boksu, zaskoczona własną siłą, gdy kupon materiału gwałtownie odjechał w bok. Czułam się wolna i nawet moje normy moralne nie mogły mnie powstrzymać od dalszego działania.

- Hej, ty! - rzuciłam groźnie za starszym mężczyzną.

W zasadzie nie miałam nic przeciwko niemu, ale nie panowałam już nad sobą. Bycie wampirem ma swoje trudne strony. Przepeniał mnie nowo nabyty podziw dla Edwarta, bo przecież codziennie przechodził tą galerią handlową i nie rzucał się z zębami ku nadgarstkom najbliższych osób, jak robiłam to teraz.

A wybrany przeze mnie staruszek był silny, bronił się dzielnie. Odgrodził się ode mnie, zataczając krąg dłonią, po czym zdarł mi z twarzy gogle pięcioma powolnymi, lecz uporczywymi ruchami.

Jak tylko umknął ze mnie wampirzy duch, błyskawicznie wróciłam do siebie.

- Co to za maaa...? - wymamrotałam, uwalniając się od upiornych skojarzeń i ścierając własną ślinę z jego dłoni. - To jakaś zwariowana stara maszyna, staruszku - poinformowałam go. - Zakładam, że masz na to licencję.

Szybko pozbierałam swoje rzeczy i rzuciłam się do wyjścia, zapomniawszy o kontrolerze gier, który właśnie kupiłam. Nie chciałam dać mu tej satysfakcji.

Słońce stało już nisko i na ulicach panował względny spokój, jeśli nie liczyć budzącego dreszcz grozy „Uuuuuuu”, którym próbowałam odstraszyć nadciągające zombi będące wrogami upiorów. W dodatku musiałam zgrać ten odgłos z dźwiękiem odstrasającym wszelkie duchy, jakie niechcący mogłam

wcześniej przywabić. Krążąc bez celu pogrążonymi w mroku zaułkami, nabrałam śmiesznego przeświadczenia, że jestem śledzona. Doleciał mnie dziwny szelest oraz stłumiony odgłos kontrolera gier Sega unoszący się w powietrzu. Obejrzałam się. Posuwał się za mną tenże staruszek mamroczący w kółko wykutą na pamięć formułkę reklamową. Serce zaczęło mi mocniej uderzać, a nawet tłuc się w piersi, jakby od środka obijało mi żebra, chcąc zaznaczyć swoją czysto fizyczną siłę. Byłam śledzona!

Szybko, nakazałam sobie w duchu. Spróbuj sobie przypomnieć, czego się nauczyłaś na prowadzonym przez Jimba kursie samoobrony dla młodych panienek. Tyle że Jimbo był barczystym olbrzymem pokrytym więziennymi tatuażami.

„Skreć w najbliższą boczną uliczkę - przypomniam sobie jego słowa. - Spróbuj udawać zdechłego królika czy też inne zwierzątko, którym chciałybyś zwieść swego prześladowcę. Jeśli zacznie na ciebie krzyczeć, odpowiedz mu grzecznie i kulturalnie, może twój optymizm nakłoni go do zmiany decyzji. Gdybyś miała wsiąść do windy w towarzystwie mężczyzny, który budzi twoje podejrzenia, zwłaszcza w ciasnym pomieszczeniu, z którego nie da się uciec, pochyl nisko głowę w jego kierunku. Pamiętaj, że strach to irracjonalne uczucie, które powinnaś ze wszech miar lekceważyć”.

Uzbrojona w takie przestrogi, skreśliłam w prawo w najbliższy zaułek, zwinęłam się w kulę i zaczęłam toczyć.

- Dokąd chcesz mnie zwabić? - zapytał drwiąco staruszek. - Lepiej wstań i weź swój kontroler gier. Nie mogę się tak nisko schylać.

I wtedy usłyszałam znajomy łopot. Spojrzałam w górę. Sylwetka Edwarta opadała spod krawędzi dachu najbliższego budynku. Podniosłam się szybko, chcąc go ratować, ale on zręcznie wykręcił ku staruszkowi i powalił go na ziemię. Mój prześladowca głośno jęknął, zaraz jednak ułożył się na boku do drzemki, podetknąwszy sobie obie ręce pod głowę zamiast

poduszki. Starszym ludziom wystarczy byle pretekst, żeby zapaść w sen.

- Proszę, chodź ze mną do samochodu, Belle - rzekł Edwart, kuśtykając w moim kierunku. - Oczywiście pod warunkiem, że tego chcesz.

- Aha. Na pewno nie z takim podejściem.

- Mam cię błagać?

Rozczarowana pokręciłam głową.

- Nie znasz właściwej magicznej formuły?

- Belle - jęknął. - Nie mamy na to czasu. Ponadto ogarnia mnie złość, gdy traktujesz mnie w ten sposób.

- Tryb rozkazujący, Edwarcie. Właściwą formą magicznej formuły jest tryb rozkazujący. Nie musisz maskować swoich naturalnych skłonności do tego, żeby mną dyrygować. Chcę, żebyś czuł się przy mnie swobodnie, Edwarcie. Aż do etapu całkowitej dominacji.

- Dobra, niech ci będzie. - Wziął głębszy oddech i wymierzył we mnie palec wskazujący. - Ty! - rzucił ostro, dobierając słowa z jakiegoś pierwotnego, dominacyjnego zakresu. - Idź sobie, dokądkolwiek zechcesz, czyli, jak mam nadzieję, do mojego samochodu, gdzie z boską pomocą będę na ciebie czekał.

- Teraz w porządku.

Rozluźnił się.

- Nie jesteś zła, że tak tobą kieruję? To nie żadna sztuczka?

- Nie, Edwarcie - odparłam, ciągnąc go do samochodu. - Wsiadaj.

Ochoczo wskoczył za kierownicę, a gdy przekręciłam kluczyk w stacyjce i uruchomiłam silnik, obrzucił mnie pociągającym spojrzeniem - morderczo pociągającym.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Pewnie, dlaczego miałabym się czuć źle?

- Mówisz poważnie, Belle? Nie zwróciłaś uwagi, co ten zboczony staruch próbował zrobić? - Pokręcił głową, kipiąc z oburzenia. - Masz szczęście, że cały dzień siedziałem tutaj na

dachu. Ten staruch... chciał ci sprzedać produkt firmy Sega!

- A co tam robiłeś na dachu, czekając cały dzień na mnie? - zaciekawiałam się, spoglądając na jego knykcie, które pobiełały, gdy palce kurczowo zacisnęły się na wspomnienie produktu firmy Sega. - Skąd wiedziałeś, że on zwabi mnie właśnie w tę uliczkę, jeśli nie odczytywałeś telepatycznie jego zamiarów?

Tu go miałam. Tylko wampiry dysponują takimi cudownymi umiejętnościami.

- Siedziałem na dachu i patrzyłem w niebo - odparł cicho. - Obserwowałem przez teleskop Merkurego. Wszystko, co zauważyłem i co słyszałem, Belle... Trudno to wyjaśnić.

- Postaraj się, Edwarcie. Wyjdzie coś z tego tylko wtedy, gdy będziemy wobec siebie całkiem szczerzy. I tak samo szczerzy wobec Merkurego.

- Zakręciło się. Na niebie jest wiele planet, Belle, a wszystkie kręcą się i kręcą...

Na chwilę zaległa cisza.

- Obiecuj mi, Belle, że już nigdy nie będziesz sama krążyć po takich zaułkach. - Aż się skrzywił, chcąc okazać swą przelotną wściekłość. Niespodziewanie opuścił szybę po swojej stronie, wychylił się i zawołał: - Ona gra w Nintendo! - Zaczerpnął głęboko tchu. - W Nintendo! - Wypuścił powietrze. - Nie zawsze będę w pobliżu, by uratować cię przed Sega.

Aż wstrzymałam oddech, żeby nie wybić go z tego stanu świętego oburzenia. Bo był cudowny.

- Jesteś głodna? - zapytał w końcu. - Wiem, że... że dopiero co się zaprzyjaźniliśmy, ale... moglibyśmy zacieśnić naszą przyjaźń podczas wspólnej kolacji, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zresztą moglibyśmy zjeść przy oddzielnych stolikach i dalej pozostać tylko przyjaciółmi. Albo nawet zjeść przy oddzielnych stolikach, udając, że się nie znamy. Chodzi o to... - Spojrzał na mnie. - Na pewno już to wszystko wiesz, bo jesteś bardzo mądrą dziewczyną.

- To znaczy, że zapraszasz mnie na kolację?



Powoli przytaknął ruchem głowy.

Nagle poczułam pieczenie pod powiekami, gdy z moich oczu wystrzeliły błyskawice. Nic mnie tak nie złości jak ludzie, którzy usiłują być dla mnie mili.

- Posłuchaj - warknęłam, chwytając go za kołnierzyk. - To ja tu jestem od uprzejmości. A ty masz okazywać niekontrolowaną agresję. Zrozumiano?

- O Boże... - syknął, a z nosa strumieniem pociekła mu krew. - Teraz to już przesadziłaś, Belle. Ostro przesadziłaś. Takie połajanki wywołują u mnie krwotoki z nosa.

- Tak już lepiej - odparłam, puszczając jego kołnierzyk. - Bądź miły i wpadnij znowu we wściekłość.

- Czy mogłabyś mi zacisnąć nos? Wolałbym nie zdejmować rąk z kierownicy.

- Jasne. - Ścisnęłam go za nos. - Ty mały, wampirzy punku - dodałam szeptem, zanim cała adrenalina opuściła mój krwiobieg.

- Wow! Tylko popatrz na ten pałac!

Edwart zjechał do krawężnika i zaparkował na wprost czegoś, co mogłabym nazwać jedynie współczesnym panteonem. Wielka tablica nad wejściem z jaskrawym napisem z neonu głosiła: *Buca di Beppo*.

- Czyż to nie wspaniałe? - zapytał Edwart, kładąc mi dłoń na ramieniu i pospiesznie ją cofając, po czym kładąc ją ponownie, gdy zmusiłam go do tego. - Tylko pomyśl... We Włoszech jest bez liku takich... barów szybkiej obsługi.

Zastrzelił mnie tym, strasznie mi pochlebił, że chce mnie zapoznać z takim kulturalnym stylem życia. Ale jednocześnie jakaś drobna część mego serca, chyba zastawka aorty płucnej, nagle oklapła. Czy naprawdę stanowiliśmy tak doskonałą parę, jak sama sobie wmawiałam, patrząc na swoje odbicie w lustrze? Lepiej ode mnie znał się na sprawach doczesnego świata, lecz także bardziej bujał w obłokach. Cóż za świat mogłam wnieść do naszego związku?

Świątek przestępczy, pomyślałam, reżolucnie odrywając



swoją połowę kuponu pod nazwą „Darmowy wstęp do nieba”. Z perspektywy czasu chcę zaznaczyć, że mogłam wnieść do naszego związku znacznie lepszy świat, gdybym tylko głębiej się zastanowiła. Po głowie kołatał mi się *Wodny świat*.

Edwart doprowadził mnie do małego, intymnego stolika na wprost wiszącego nad barem telewizora. Co ciekawe, kelnerka błyskawicznie wtargnęła w nasze małe tête - à - tête z pytaniem, czy drużyna niebieskich ma rację w swoim ogólnikowym komentarzu co do specjalności lokalu. Nie potrafiłam ocenić, czy to przeze mnie, czy ze względu na wygląd Edwarta całkiem odwróciła się do mnie plecami. Czyżby chodziło o kwestie terytorialne? Odnosiłam jednak wrażenie, że specjalnie tak się ustawiła, by wyrazić swoją pogardę wobec mnie, a jednocześnie skierować całą uwagę na Edwarta.

- Ja poproszę lazanie, ale małą porcję - odezwałam się do jej muskularnych pośladków.

- Więc niech to będzie razem podwójna porcja - rzekł Edwart.

- Na pewno? - zapytała kelnerka. - Jedną porcją można nakarmić od siedmiu do dziewięciu osób, bo nasze porcje są w stylu rodzinnym. A prawdę mówiąc, w stylu „rodzin czynnie zwiększających przyrost naturalny”.

- Tak, na pewno - odparł, puszczając do mnie oko między jej nogami.

Skrzyżowała je błyskawicznie, przez co na dobre straciliśmy siebie z oczu.

Kiedy odeszła, Edwart skierował na mnie swoje zdumione źrenice wielkości piłeczek pingpongowych. Samo patrzenie na niego przenosiło mnie w inny świat, wprawiało w szal - pełen migoczących, wielobarwnych światel w kształcie ludzkich oczu.

- W normalnych warunkach nie zamawiałbym niczego dla ciebie - rzekł - ale wzięwszy pod uwagę wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny, co było tak zdumiewające, nieoczekiwane i skumulowane do celów tej komedii, doszedłem

do wniosku, że musisz być bardzo głodna.

- Skąd miałbyś to wiedzieć? Zaczynam podejrzewać, że potrafisz czytać w moich myślach.

Zmarszczył brwi i spuścił wzrok na obrus.

- Prawdę mówiąc, jesteś jedyną sobą, której myśli pozostają dla mnie nieodgadnione. Zawsze myślałem, że potrafię z wyrazu twarzy innych ludzi odczytywać ich uczucia, ale przy tobie... Kiedy patrzę ci w oczy i staram się odgadnąć, co myślisz, odbieram jedynie BIIIIIIIIIP. To dźwięk zagłuszający wszystko, sygnał szpitalnych monitorów obwieszczających śmierć człowieka. BIIIIIIIIIP. Mniej więcej tak go odbieram.

I dla mnie ten stary BIIIIIIIIIP był dobrze znanym sygnałem. Sygnałem podstawowym, jeśli wolicie, oznaczającym, że mój umysł wraca do podstaw, jeśli nie znajduje żadnego ciekawszego tematu do rozmyślenia.

- Dobrze wiem, o co ci chodzi - powiedziałam.

- Ale mimo to sygnał nie cichnie - odparł. - Co to oznacza? Dla mnie to brzmi jak BIII BOP BIIP BIIP BIII BIIP.

Kelnerka przywiozła na wózku talerz z moją lazanią.

- A ty na pewno niczego nie chcesz? - zapytała Edwarta jak zwykle zaczepnym tonem.

- Czy macie kaszankę? - zapytał znieca.

- Tak.

- Doskonale. W takim razie poproszę kawałek. Jedną porcję kaszanki.

- Porcję kaszanki?

- Zgadza się. Wolę tego rodzaju wyroby.

- To znaczy krwiste, mam rozumieć?

- Tak jest, krwiste. - Obejrzał się na mnie. - Mówiłaś coś?

BIIIIIIIIIIIP, pomyślałam, gorączkowo szukając innego tematu, na którym moglibyśmy się zatrzymać. I wtedy właśnie doznałam kolejnego z moich dobrze udokumentowanych objawień. Szybko skojarzyłam jego ciągle odnośniki do środków odkażających Purella, uwielbienie do gier wideo, brak przyjaciół,

zamiłowanie do obserwowania ruchu planet i do wymachiwania rękoma jak cepem.

- Jesteś zombi - syknęłam przez zęby.

- Nie, nie jestem - odparł.

Powróciłam do teorii wampirów.

W drodze powrotnej do domu zapytał, czy mam jeszcze inne teorie.

- Nawet kilka - odparłam. - Pewnie słyszałeś, iż naukowcy twierdzą, że należymy do stale ekspandującego wszechświata? No więc skłania mnie to ku wnioskowi, że przestrzeń kosmiczna to jedna wielka mistyfikacja, a NASA jest schronieniem dla agentów CIA będących blisko emerytury. Księżyc na pewno jest rzeczywistym ciałem niebieskim.

- Chodziło mi o teorie na mój temat - odparł Edwart. - Czasami patrzysz na mnie takim wzrokiem, że... może inaczej, czasami takim wzrokiem spoglądasz na moje zęby, i dokładasz do tego komentarze dotyczące się mojej nie ludzkiej błądności albo nie ludzkiej oziębłości, albo w ten sposób przytykasz ucho do mojej piersi... to znaczy, ciekaw jestem, co się dzieje w tej twojej małej główce.

- W żadnej sytuacji nie słyhać twojego bicia serca.

- Właśnie o tym mówię! Dlaczego powtarzasz tego rodzaju opinie? Za kogo mnie masz? - Zerknął na mnie nerwowo. - Chyba nie sądzisz, że jestem robotem jak reszta androidów, prawda? Proszę, Belle... Ja po prostu... nie zniosę tego dłużej.

- Dlaczego to ty mnie wypytyujesz, a ja muszę odpowiadać? - syknęłam, gdyż prawdę mówiąc, teoria o robotach była dla mnie czymś zupełnie nowym i zdecydowanie wymagała głębszej refleksji.

- W porządku. Strzelaj.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie moglibyśmy być razem?

Westchnął głośno.

- Bałem się, że właśnie o to zapytasz. Prawda jest taka, że nie



nadaję się dla ciebie, Belle. Jestem niebezpieczny. - Zaczął jechać zygżakiem od krawężnika do krawężnika. - Zbyt niebezpieczny. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. - Przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym cię naraził na niebezpieczeństwo. - Zatrzymał się na żółtym świetle, żeby móc skręcić w lewo, gdy już zapali się czerwone.

- Pozwolisz, że następnym razem ja poprowadzę? - zapytałam.

- To by rozwiązało jeden problem. - Zachichotał. - Bo nawet nie wystartowałem do egzaminu na prawo jazdy. Jest jednak coś, o co bardzo chciałbym cię zapytać. Jaki jest twój ulubiony kolor?

- Niebieski.

- A twój ulubiony kwiat?

- Stokrotki.

- Spoko. No cóż, nie mam więcej pytań. Moim zdaniem bardzo ciekawe jest to, że masz ulubiony kwiat. To było podchwytliwe pytanie.

- Skłamałam na temat koloru. Naprawdę kolory nic mnie nie obchodzą. Niebieski nie ma dla mnie żadnego szczególnego znaczenia.

Zdjął rękę z kierownicy, żeby czułym gestem zsunąć mi za ucho kosmyk włosów, który i tak tkwił już za uchem.

- Zatem już wiesz, co o tobie myślę. Jesteś wyjątkowa. Oboje jesteśmy wyjątkowi. Oboje rozmyślałyśmy o rzeczach, nad którymi inni się nie zastanawiają. - Skręcił na miejsce parkingowe i popatrzył na mnie. - Chcesz porozmawiać o tych sprawach?

- Jasne - odparłam. - Z przyjemnością podejmę dyskusję o tych sprawach.

Tak więc przeprowadziliśmy dyskusję. Była naprawdę ciekawa.

- Powinniśmy chyba wejść do środka - powiedziałam, gdy dobiegła końca. - Jest już dziewiąta, a będę musiała wstać wcześniej, żeby przygotować ojcu śniadanie.



- Zatem dobrej nocy - rzekł, ściskając moją dłoń.

Pochyliłam się w bok, żeby cmoknąć go w policzek na dobranoc, lecz niespodziewanie ucałowałam powietrze, gdyż zniknął mi sprzed oczu.

- Nigdy więcej nie próbuj wciągać mnie w żadne tanie rozgrywki - usłyszałam jego rozszłoszczony głos dolatujący gdzieś z tyłu, zza fotela kierowcy.

- Przepraszam, Edwarcie.

- Nawet nie jesteśmy jeszcze parą! - odparł rozdrażniony głos. - Potrzebuję czasu, żeby się oswoić ze świadomością, że jesteś przy mnie. Czasu nawet na to, żeby przywyknąć do trzymania się za rękę, na miłość boską! - Jego głowa pojawiła się między oparciami foteli. - Czy możemy być ze sobą całkiem szczerzy, Belle?

- Oczywiście, Edwarcie. Nie da się stworzyć stałego związku, nie będąc całkiem szczerym co do zniszczeń, do których jest się zdolnym.

- Jasne. A więc... gdybym ci powiedział, że w ogóle nie jestem zdolny do żadnych zniszczeń? Że jestem zmuszony do wyjmowania własnymi rękami z lodówki kartonika z sokiem jabłkowym i że nigdy nie zdołam otworzyć ci żadnego słoika? Gdybym ci powiedział, że kiedy zastałem pająka pod prysznicem, polewałem go obfitymi porcjami wody, dopóki nie utonął, a potem przez lata musiałem żyć z poczuciem winy, nim wreszcie zostałem wegetarianinem?

Wegetarianizm w świecie wampirów oznaczał raczenie się każdą krwią oprócz ludzkiej. Szczerze mówiąc, bardziej adekwatne wydawało mi się słowo „koszerna”, uważałam więc, że komisja w rodzaju L'Academie française powinna się zebrać, żeby ustalić oryginalne określenie w tej kwestii. Jednakże nie miałam pojęcia, z kim się w tej sprawie skontaktować. Zresztą nie było nawet czasu, żeby się tego dowiadywać. Dość obowiązków wiązało się ze szkołą, i w ogóle.

- A gdybym ci powiedział - zaczął Edwart zagadkowym

tonem, nawet niezbyt odpowiednim do okoliczności - że jesteś drugą dziewczyną, która kiedykolwiek trzymała mnie za rękę, bo pierwszą była moja mama? A następnie przyznał, że telewizyjny kociokwik przyprawia mnie o przepuklinę? Nadal chciałabyś ze mną chodzić?

- Posłuchaj, Edwarcie. Po pierwsze, gdyby to wszystko było prawdą, nie siedzielibyśmy teraz w tym samym samochodzie - wycodziłam. - Po drugie, nigdy bym nie poszła na kolację z kłamcą, który łże, że nie może podnieść czterdziestolitrowego kanistra z sokiem jabłkowym. Szczerze mówiąc, uważam, że twoje nadludzkie umiejętności w ciskaniu dzbanami soku jabłkowego wielkości samochodów należą do twoich najbardziej kuszących zalet. Dlatego proszę, Edwarcie - rzekłam z naciskiem, zaglądając mu głęboko w duszę i dostrzegając, że na dnie tej duszy kryje się wiele innych zdumiewających wampirycznych sekretów - zrozum, że jestem jedyną, której możesz zaufać na zawsze. Od tej pory nie miejmy przed sobą żadnych tajemnic.

Popatrzył na mnie z taką miną, jakby chciał się rozplakać, najwyraźniej z radości uwolnienia się od części straszliwego brzemienia tychże sekretów.

- W porządku - odezwał się w końcu. - Rozszyfrowałaś mnie. Jestem największym zagrożeniem twego bezpieczeństwa i jeśli będziemy się spotykać, nie mogę obiecać, że zdołam się powstrzymać od... od... - Zająknął się, wyraźnie zawstydzony skalą koszmarnych czynów, jakich mogliśmy się razem dopuścić.

- Od przekształcenia mnie w napełniony powietrzem worek skórny? - zapytałam szeptem.

- Dziwna jesteś, Belle - odparł z ulgą typową dla kogoś, kto zna człowieka na tyle dobrze, że może go od czasu do czasu trochę podrażnić, zwłaszcza w kwestii jego wad, które, chociaż niewybaczalne, i tak są pociągające. - Niemniej jesteś piękna. Tyle że szokująco, niewyobrażalnie dziwna.

- Wiedziałam! - Szerokim gestem otoczyłam ramionami



powietrze wokół niego, aby mógł się oswoić z moim ulubionym zapachem krwi, który miał lekki odcień grejpfrutowy.

- Wpadnę jutro około siódmej rano, żeby cię zabrać na nasze pierwsze wspólne spotkanie z zakresu „elastyczności cenowej”.

- A cóż to za niebezpieczna działalność kryje się za tym określeniem? - zapytałam, wysiadając.

W zamyśleniu potarł palcami brodę pozbawioną jeszcze śladów zarostu.

- Sama się przekonasz - odparł z ociąganiem.

Wbiegłam do domu na równi zmieszana i podniecona. Czyżby wampiry miały własny niepowtarzalny sposób podrabiania banknotów dolarowych? Jaki to miało wpływ na inflację? Czy wzrost cen nie robił na Edwarcie żadnego wrażenia, ponieważ jego oszczędności przyrastały przez setki lat?

Niemniej współczesna ekonomia była dość skomplikowana.

- Cześć, Belle! - zawołał mój tata, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi. - Jak ci minął wieczór?

Nie odpowiedziałam. Za dużo musiałabym mu tłumaczyć. Nie miał zielonego pojęcia, że istnieją prawdziwe wampiry, a troska o mnie była jedynie efektem chemicznej reakcji w jego mózgu, mającej na celu zachowanie genotypu - reakcji analogicznej do tej, która popychała mnie ku szukaniu tych najbardziej przebiegłych wampirów.

6. LASY

Tej nocy nie mogłam spać. Zamartwiałam się tym, że za moim oknem czyha pijawka. Zamartwiałam się, że zeskoczy z drzewa na mój parapet i jakoś prześlizgnie się do środka, po czym wykorzysta swoje czujniki hemoglobiny, żeby dobrać się do mojej krwi. Problem z intensywnie pachnącą krwią jest taki, że wszyscy zaczynają chcieć się do niej dobrać. Wstałam z łóżka i zamknęłam okno, ale to tylko wywołało nową falę obaw, bo przecież pijawka mogła już być w moim pokoju. A jeśli była w znowie z Edwartem i tylko odgrywała rolę marchewki, ukrywała się pod moim łóżkiem w oczekiwaniu, aż zasnę? Jednego byłam pewna - nie zamierzałam powstrzymać tej pijawki od wykonania zadania. Nie widziałam sposobu, żeby odegrać jakąś rolę w globalnej ekonomii. Tak więc z powrotem otworzyłam szeroko okno i wróciłam do łóżka.

Przewalałam się w nim przez parę minut. Na szczęście moja rozkojarzona matka zapakowała mi do walizki pistolet ze środkiem usypiającym, którego używałam przeciwko niej, ilekroć wpadała w ten swój paskudny nastrój, toteż teraz strzeliłam do siebie i natychmiast zapadłam w błogi sen. Nie wspomnę już, że zapakowała mi też swój magnetowid oraz pierścionek z brylantem.

Mimo środka nasennego rano byłam wciąż podenerwowana. Jakie Edwart miał plany wobec mnie? Czyżbym narażała się na

śmiertelne niebezpieczeństwo? Dlaczego tak się brzydziłam pijawką złąknioną mojej krwi, ale nie wampirem? A co najważniejsze, jak miałam pogodzić wyjście w sukni balowej z chęcią nieprzywiązywania szczególnej wagi do swojego wyglądu? Skończyło się na tym, że zrzuciłam suknię i włożyłam koszulę zapinaną na guziki, ale damską koszulę. Łatwo to było rozpoznać po kieszeniach.

Rozległo się pukanie do drzwi i pospiesznie wzięłam głęboki oddech. Jakże uprzejmie było ze strony Edwarta, że pukał, kiedy mógł po prostu przeniknąć przez zamknięte drzwi. Otworzyłam je natychmiast.

Za nimi stał listonosz i uśmiechał się do mnie w sposób typowy dla wszystkich mieszkańców Switchblade.

- Cześć - rzucił. - Ładna pogoda.

W zakłopotaniu przestąpiłam z nogi na nogę. Mogłam swobodnie rozmawiać o wielu rzeczach, ale nie o pogodzie. Nie znałam nawet stosownej terminologii, jako że przeskoczyłam etap, na którym były omawiane rozmaite warunki atmosferyczne.

- To prawda, nawet słońce wyszło - zauważyłam ostrożnie.

- Przekaż swojemu tacie, że go pozdrawiam.

Wreszcie zrozumiałam. Zakochał się we mnie. Łatwo to było rozpoznać po charakterystycznym dzwonieniu, czekaniu przed drzwiami i próbach wykazania się wiedzą na temat pogody. Czyżby inne dziewczyny w tym mieście nie chciały brać na siebie odpowiedzialności za to, że ktoś je kocha?

Wzięłam od niego ten jeden list, który miał dla nas. Był ze Switchblade Gas & Electric Company. Nawet nie miałam pojęcia, że tam również mam skrytych admiratorów, choć zaledwie to nie zaskoczyło. Wyrzuciłam to pismo do śmieci razem z listami miłosnymi z urzędu skarbowego i bez słowa zatrasnęłam drzwi.

Przeszłam do kuchni, żeby zjeść coś na śniadanie przed przybyciem Edwarta. Dla mnie śniadanie to najważniejszy posiłek dnia, a ten dzień wydawał się najważniejszy w roku. Jeśli

się dobrze zastanowić, mogłam zjeść dwa śniadania za jednym zamachem.

W kuchni był tata i jak zwykle szukał czegoś w szufladach. Nawet nie zdołał nasypać sobie płatków śniadaniowych z pudełka. Nie mogłam się nadziwić, jak dawał sobie radę, nim zamieszkałam z nim.

- Tu jest twoja miseczka, tato - powiedziałam.

- Co?

- Miseczka. Coś w rodzaju talerzyka, tyle że z podniesionymi brzegami - wyjaśniłam.

Ale kiedy wyjęłam ją z szafki, jakimś dziwnym sposobem poleciała w kierunku wentylatora pod sufitem. Bez wahania sięgnęłam po drugą miseczkę i podałam ją tacie. Zapatrzył się na nią, dopóki nie nasypałam mu do niej płatków.

- Proszę, tato. Tu jest łyżka. Zajadaj swoje płatki łyżką.

- Dzięki, Belle - rzekł z wdzięcznością.

Sprawiał wrażenie całkiem bezradnego, ale przynajmniej mógł się samodzielnie odżywiać, czym wyraźnie odróżniał się od mojej matki. Musiałam udawać samolocik, żeby ją zmusić do otwarcia ust, ale od czasu, gdy w pobliżu naszego domu rozbił się prawdziwy samolot, przyjmowała to z przerażeniem, musiałam więc naśladować latające samochody, które wydawały prawie takie same odgłosy, tyle że bardziej basowe.

- A zatem, Belle, co mamy dziś nowego?

- Tato - wycedziłam, chwytając go za rękę i spoglądając mu prosto w oczy. - Jestem tak bardzo zakochana, jak chyba nikt jeszcze nie był w całej historii ludzkości.

- O rety, Belle. Kiedy ktoś cię pyta, co nowego, powinnaś odpowiedzieć: nic specjalnego. Poza tym czy nie jest jeszcze za wcześnie, żebyś się odcinała od pozostałych rówieśników i kierowała nadzieje w stronę ulubionego chłopaka, licząc na to, że zaspokoi to twoją społeczną potrzebę szukania bliższych znajomości? Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś zmusił teraz tego chłopaka do wyjazdu! Oczyma duszy już widzę te

strony pamiętnika, na których od góry do dołu powtarza się tylko jedno imię.

- Gdyby Edwart musiał wyjechać, znalazłabym sobie innego potwora do towarzystwa. Dobrze wiesz, że w zasadzie nie lubię ludzi. I nie mam żadnych ciągót społecznych - odparłam. - Pod tym względem jestem chyba bardzo podobna do mojego ojca.

Uśmiechnęłam się szeroko. Mimo że nie byłam z nim specjalnie związana emocjonalnie, poczułam odrobinę satysfakcji.

Zaraz jednak moje myśli pomknęły ku zasadniczemu problemowi. Chciałam, żeby wyszedł z domu. Rodzice są zazwyczaj żałośni, kiedy dochodzi do odwiedzin chłopaków ich córek. W tym zakresie miałam spore doświadczenie z Phoenix, gdzie mama wychodziła z domu na czas wizyty chłopaka, wskutek czego zmuszała mnie do szukania sposobów zabawienia go, bo to ona go zaprosiła.

- Cześć, tato - powiedziałam. - Może byś się wybrał na ryby?

- Masz rację, chyba powinienem dzisiaj wyjechać na ryby. Tylko czy na pewno dzisiaj? Wydaje mi się, że tak. Nie pamiętam dobrze.

- Tak, dzisiaj - odparłam jak wytrawny wojskowy strateg. - A może byś wybrał to najdalsze miejsce do połowów? W ten sposób wróciłbyś później.

- Odnoszę wrażenie, że to wspomniałyś pomysł! - oznajmił. - I jeszcze chętnie zabiorę ze sobą przyjaciela na wózku inwalidzkim. Uwielbiam wyprawy wędkarskie, kiedy ty zostajesz w domu - dodał, wychodząc już na podwórko. - Nie przywykłem do tego, że ktoś ze mną mieszka. To wyczerpujące doświadczenie!

I tak to się stało. Jim wyjechał na ryby i wcale nie przejmował się tym, że planuję spotkanie z Edwartem. Zresztą nikt nie mógł wiedzieć, że umówiliśmy się na randkę. Musiałam chronić Edwarta na wypadek, gdyby cokolwiek mu groziło. Mimo wszystko jeszcze nigdy nie wychodziłam na randkę z tak

napalonym chłopakiem, dlatego też wysłałam wszystkim znajomym mejl głoszący: „Edwart Mullen i Belle Goose są parą!”.

Ni stąd, ni zowąd usłyszałam pukanie do drzwi. Wyrzałam przez wydzier, bo tak go nazywałam po mojej mamie, która na słowo „wizjer” wpadała w niekontrolowany chichot.

Za drzwiami stał Edwart.

- Chwileczkę! - zawołałam, zgarbiając narecze pism ilustrowanych w drodze do łazienki. - Muszę załatwić kilka ludzkich potrzeb!

Właśnie w łazience trzymałam swój sokownik. Wstrzykiwałam sobie do żył sok grejpfrutowy, żeby czymś się wyróżnić, przynajmniej niezwykłym zapachem krwi.

- Belle? - zagaił, kiedy w końcu otworzyłam mu drzwi.

- Edwart - odparłam, chcąc dowieść, że ja również poświęciłam co najmniej godzinę w swoim pokoju na zapamiętywanie jego imienia.

Tymczasem on zniemacka zaczął się śmiać. Czyżbym powiedziała coś śmiesznego? A może on coś takiego powiedział? Nawet nie miał pojęcia, ile czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że mój los jest w rękach chłopaków ze szkoły, gotowych mnie zabić za tego typu śmiech. Tamci jednak nie mieli pojęcia, że potajemnie szykuję rewoltę.

- Jesteśmy tak samo ubrani - wyjaśnił.

Nie kłamał. Miał na sobie białą koszulę zapinaną na guziki, a raczej nie koszulę, tylko damską bluzkę. A włosy zebrał spinką, która jeszcze bardziej przypominała dziewczęcą. Zachichotałam razem z nim, ale zaraz spoważniałam, gdyż w tym stroju wyglądał lepiej ode mnie. Chwilę później zaśmiałam się znowu, bo przecież zależało mi jedynie na tym, żeby był szczęśliwy.

- Chodźmy, Belle. Chcę ci coś pokazać.

- Dokąd mnie zabierasz?

- W pewne ryzykowne miejsce.

- Do Włoch? - zapytałam inteligentnie.



Ze swoich badań wiedziałam dobrze, iż Włosi - oprócz tego, że znani są z oliwkowej cery i kuchni przeładowanej czosnkiem - dali na wieki bezpieczne schronienie najpotężniejszej rodzinie wampirów.

- Zobaczysz - odrzekł tajemniczo. - Aha, jeszcze jedno. Chyba byłoby lepiej, gdybyś zmieniła buty na nieco solidniejsze.

Spojrzałam na swoje buty. Istniało coś solidniejszego od moich kosmicznych żaroodpornych kaloszy? Przypomniałam sobie, że mam jeszcze niezłe buty traperskie.

- Nigdy nie wiadomo, na co człowiek się natknie za kilometrami porośniętej trawą równiny... - dodał, rzucając kolejną zagadkową uwagę. - Poza tym będzie ci potrzebna maska tlenowa, namiot, dzienne racje żywieniowe oraz własny Szerpa. Będziemy się wspinać na Kurhan Truposza.

Wstrząsnął mną silny dreszcz. Każda komórka mego ciała krzyczała, bym zrezygnowała z tej wyprawy - oczywiście każda komórka poza moim sercem, które pragnęło wyzwania.

- Ależ, Edwarcie, nie mam niczego z wymienionych przez ciebie rzeczy.

- Ja też nie mam, Belle. - Zrobił krok w moją stronę i wciągnęłam w nozdrza jego intensywną woń przesiąkniętą zapachem dezodorantu „Axe”. - Bez zapasu tlenu nie tylko sam narażę się na poważne niebezpieczeństwo, ale w dodatku stanę się zagrożeniem dla ciebie.

Zamilkł. Popatrzyłam na niego oczyma rozszerzonymi ze strachu, co było zupełnie dobrym sposobem na wypełnienie niezręcznej ciszy, której w inny sposób nie zdołałabym wypełnić.

- Już wiesz, dlaczego powiedziałem, że to ryzykowne miejsce? - rzekł. - Zwłaszcza wtedy, gdy zabiorę cię tam, nie podjąwszy odpowiednich środków bezpieczeństwa, na przykład nie wezmę ze sobą leków na nadpobudliwość? Chciałabys odpowiadać za moje czyny przez resztę popołudnia? - Zakołysał się na nogach jak zamroczony.

Przytaknęłam ruchem głowy.



- Moj komfort emocjonalny za bardzo zależy od ciebie, żebym miała cię zostawić w takiej chwili.

- Dzięki Bogu - mruknął. - Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wcześniej, nim spuściłem wszystkie swoje leki w toalecie. Naprawdę byłoby fantastycznie, gdybyś powiedziała mi o tym wcześniej. - Rzucił mi lekki sznurkowy hamak. - Gdybym w dowolnej chwili podczas naszej wyprawy wpadł w zarośla czy inne podejrzane miejsce, po prostu zarzuć go sobie na ramiona i pełnij za mną przez pewien czas.

Wcisnęłam hamak do swojej torebki i zapięłam suwak plecaka. Ruszyłam do otwartych drzwi i zaraz zwałam się jak długa. To ja, cała Belle.

- Sprawiasz wrażenie wycieńczonej - rzekł Edwart, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

- To prawda, ostatniej nocy kiepsko spałam.

- To tak jak ja - rzekł, gdy nabieraliśmy prędkości.

- No właśnie, te nocne pijawki sprawiają coraz więcej problemów, nie sądzisz?

- Och, Belle - zaśmiał się krótko. - Kiedy tak mówisz, zaczynam się bać, a gdy będziesz dalej tak trzymać, poczuje się zobowiązany donieść o tym zwierzchnictwu.

Jego chichot zabrzmiał jak piski tysięcy syren przekształconych w kobiety. Skręciłam na parking na końcu naszego osiedla.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. - Na początku dzikiej ścieżki Truposza.

Wyskoczyłam z samochodu, nadmuchałam mój wielki gumowy balon i pospiesznie zaczęłam wykonywać z nim ćwiczenia rozciągające.

- Czy twój tata nie będzie miał nic przeciwko temu, że zjedziemy z utartego szlaku? - zapytał Edwart. - I pójdziemy tą drogą?

- Czego Jim nie wie, tego bać się nie musi.

Przetoczyłam się po balonie na brzuchu, po czym przybrałam



postawę, umożliwiającą ruszenie w dowolnym kierunku.

- Ale nie powiadomiłaś swojego taty, gdzie jedziesz, prawda? Na Boga, Belle! Sam nie wiem, do jakiego stopnia powinienem podejmować takie ryzyko!

Zaczął charczeć, a po chwili z nosa pociekła mu krew.

- Cudownie. I jeszcze to - rzekł głosem Alvina Chipmunka, gdyż ścisnął sobie palcami nos.

Podciągnęłam go do balonu i ułożyłam na nim, zadzierając mu głowę ku górze.

- A jeśli nie zdążysz wrócić do domu na kolację? - wydukał nieporadnie. - Jeśli Jim nie zostawi porcji dla ciebie, sądząc, że już jadłaś? Co cię wtedy czeka?

- On dobrze wie, że jesteśmy razem.

- Co znaczy, że na nic się nam nie przyda, jeśli ugrzęźniemy gdzieś na szlaku. I to na dobre. Dzięki Bogu, moi rodzice zdecydowali się na wszczęcie mi mikrochipa, dzięki czemu mogą stale wiedzieć, gdzie jestem, i na bieżąco rozważać wszelkie warianty mojego zniknięcia.

- Przykro mi - odparłam, choć naprawdę wcale nie było mi przykro.

Pamiętałam, że jeśli chłopcy chwytają się zębami i pazurami wymyślonej przez siebie smętnej i szalonej bajeczki, oznacza to, że ich zdaniem odnaleźli bratnią duszę. Ponadto złość mogła go doprowadzić do wzmożonej aktywności gruczołów potowych, dlatego zdarł z siebie koszulę. Kiedy wyprężył pierś, gotów do podjęcia marszu ustaloną drogą, i schylał się tylko od czasu do czasu, żeby sprawdzić teren przed nami, jego mięśnie na ramionach grały pod skórą niczym rozciągany w elastyczne włókna żółty ser.

Na niebie pojawiła się samotna chmurka, zwiewna i dyskowata, ale doskonale przesłaniająca słońce. Obejrzałam się na Edwarta. Uderzyło mnie, że jeszcze nigdy dotąd nie widziałam go w świetle słonecznym. A co ciekawsze, nigdy nie widziałam go w jego blasku. Czyżby istniał tu jakiś związek?



Hołdowałam teorii, że bezpośrednie światło słoneczne drastycznie wpływa na wygląd wampirów, podobnie jak zielone światło sprawia, że każdy z nas wygląda na śmiertelnie chorego.

- Jestem gotowa pójść za tobą - odparłam, zdzierając zewnętrzną warstwę gorącego, choć wyraźnie niezbyt widocznego zapału.

Edwart odwrócił się szybko, a ja głośno krzyknęłam. Nie zmieniło to faktu, że miał na sobie podobną bluzkę jak ja - białą i cienką, do tego lekko elastyczną. Czemu nie zwróciłam na to uwagi, dopóki się nie odwrócił? Odniosłam wrażenie, że moja wyobraźnia czasami może jedynie rzucić jakiś obraz na jego plecy, co wypacza moje postrzeganie rzeczywistości.

Mimo wszystko Edwart się zmieniał. Rozciął bluzkę na całej długości i wstawił suwak, który miał teraz zapięty do mostka. Odsłonięty fragment jego piersi zdawał się półprzezroczysty, pod skórą, z rzadka owłosioną, widać było niebieskawe żyłki. Koszula idealnie układała mu się na zapadniętym brzuchu, podkreślała wszystkie wystające żebra, nie pozostawiając żadnych szczegółów wyobraźni. Linia szyi połyskiwała mu jak u jakiegoś prehistorycznego bożka od drobnych kryształów górskich, którymi poobklejał gęsto kołnierzyk bluzki. Popatrzyłam ze smutkiem na przód swojej smętnej, pozbawionej ozdób kamizelki. Niepokojem zaczynały mnie napawać jego wyzywające metody podrywu. Jeszcze zobaczymy, kto wygra ten wyścig w workach, pomyślałam złośliwie. Praktykowałam to od lat.

- Chodźmy - powiedział.

Zaczęliśmy się wspinać ścieżką prowadzącą na szczyt Kurhanu Truposza. Wiła się spiralnie dookoła stromego wzniesienia, w regularnych odstępach przecinając inną ścieżkę, wiodącą prosto w dół zbocza. W lasach napotykalismy różne żuczki i robaki. Wspominam o tym, bo teraz, gdy większe zwierzęta uciekły dalej od ekspandującej cywilizacji, nie pozostało nam nic innego, jak podziwianie mniejszych stworzeń.

Edwart co chwila spoglądał na swoją mapę, żebyśmy się nie zgubili. A kiedy się zgubiliśmy, zachował na tyle przytomności umysłu, żeby wyciągnąć namiot i rozbić na noc obóz. Wtedy sięgnęłam po swoją lornetkę i szybko namierzyłam szczyt wzgórza jakieś dwadzieścia metrów dalej na lewo. Pobiegliśmy na przełaj, aż dotarliśmy do końca drogi urywającej się na polanie. Gdyby wjechał tutaj samochód, musiałby stanąć, po czym zawrócić o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wskoczyłam na środek polany i zaczęłam po niej skakać na lewo i prawo. Jeszcze nigdy nie czułam się aż tak wolna. I jeszcze nigdy tak głośno nie śpiewałam *The Sound of Music*. Było przepięknie. Wszędzie dokoła rosło wybujałe zielsko i mnóstwo było małych żółtych kwiatków - tych, co wylatują w powietrze obłoczkami drobnych białych płatków, gdy się na nie mocno dmuchnie. Czułam się jak w czarowanej krainie, która mimo wszystko wyglądała dziwnie znajomo.

- Czy to nie jest podwórko na tyłach mojego domu? - zapytałam.

Edwart stał, oparty ramieniem o drzewo na skraju polany.

- Nie, Belle. Jesteśmy co najmniej pięć minut drogi od twojego domu.

- Aha - odparłam.

Zawsze miałam kłopoty z aproksymacją. Znalazłam się w obcej dla siebie sytuacji, a zarazem zdumiewająco mi bliskiej - tak bliskiej, że szacunkowo miliony dziewcząt na całym świecie mogłyby się ze mną identyfikować. Nagle zawstydzona, popatrzyłam na Edwarta, który trzymał się w cieniu, obserwując stamtąd, jak składałam unizone hołdy ośmiu duchom wiatru.

- Zdaje się, że chciałeś mi coś pokazać - przypominałam mu.
- Coś związanego z Elastycznością Cenową? - zapytałam, nawiązując do jego cudownej transformacji w blasku słońca.

- Ach, tak, racja. Zamknij oczy i licz do stu.

Zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć szczególnie powoli, powtarzając w duchu rytmicznie: Missisipi. Zaraz też straciłam

rachubę i przeniosłam się myślami do Missisipi. Zaciekawilo mnie, czy są tam wampiry? Czy pada tam deszcz? No i przez całą sekundę musiałam sobie przypominać, jaka liczba następuje po siedemdziesiąt dziewięć.

Kiedy doliczyłam do stu chyba z dziesięć razy, ciągle zmuszona zaczynać odliczanie od początku, Edwart krzyknął:

- Jeszcze nie.

Otworzyłam więc oczy i osłoniłam je od słońca, które świeciło teraz pełnym blaskiem na czystym niebie. To, co ujrzałam, wprawiło mnie w osłupienie. Edwart stał na środku polany i lśnił. Jego skóra przybrała odcień jaskrawej czerwieni, jak na wozach strażackich, a pot wypływający z niego wszystkimi porami jeszcze bardziej nasilał złudzenie, że zamiast głowy ma połyskliwego pomidora.

W rękę trzymał łopate, u jego stóp ciemniała dziura w ziemi.

- Właśnie to chciałem ci pokazać - rzekł.

- Nie boję się żuczków - powiedziałam, z wprawą wkładając sobie jednego do ust.

- Posłuchaj, Belle. To jest sekret, który mogę zdradzić wyłącznie tobie. - Wszedł do wykopanego dołu i wytaszczył z niego androida wielkości dorosłego człowieka. - Jego też się nie boisz?

- Nie. Jest piękny. - Zbliżyłam się o krok, żeby dotknąć jego ręki. Edwart zeszywniał.

- Przepraszam - mruknął. - Nie byłem przygotowany na ten gest. Kiedy po całych dniach przebywa się wśród androidów, człowiek nabiera nawyków kontrolowania tego, kiedy i jak ludzie się poruszają. Cała ta bzdura z ludzkimi interakcjami... Po prostu trzeba do tego przywyknąć.

- Nic nie szkodzi. - Zatem byłem jedynym człowiekiem, z którym Edwart się kontaktował. Zrobiłam jeszcze jeden krok, wolniej i ostrożniej, próbując się odwołać do ludzkiej sprawiedliwości. - Co to właściwie jest?

- Zasilany energią słoneczną anatomicznie doskonały



android. Trzymam go na tej odludnej, nasłonecznionej polanie, żeby się stale ładował, a jednocześnie rywale z dorocznego Konkursu Robotów nie zdołali mi go wykraść. Kiedy go wyłączam, bez skrupułów zakopuję z powrotem w ziemi.

- A co on robi?

- Pozwala mi prowadzić pokazy.

Włączył go i oczy robota rozświeciły się na czerwono. Wstał powoli, z trzaskaniem, jakie towarzyszyło układaniu się poszczególnych części w całość. Wyprostował się na pełną wysokość i obrócił głowę w moją stronę, po czym zwałił się na ziemię jak przekłuty balon i powolutku zaczął się składać od początku.

- To wszystko? Umie tylko padać i z powrotem składać się do kupy?

- No, tak... Potraktuj to jak symbol walki. Spójrz, ilu syntetycznych mięśni musi przy tym używać. Ciało ludzkie to nadzwyczajna konstrukcja. - Wziął mnie za rękę. - Tylko się przekonaj, jak gładką stworzyłem mu skórę.

Podniósł moją rękę, a ja opuściłam ją wolniutko, zahipnotyzowana wyrazem jego twarzy. Moje usta jakimś cudem zbliżyły się do jego warg wypchniętych przez aparat ortodontyczny.

- Ach!...

Edwart z szeroko rozpostartymi rękoma odtoczył się po ziemi. Moja błyskawiczna akcja znów go zaskoczyła.

- To moja wina - wychlipał, tocząc się dalej. - Nie mogę cię całować, dopóki oficjalnie nie wyjdziemy razem. Tak mówią „Zasady”. - Przestał się toczyć i usiadł, dysząc ciężko z głośnym charczeniem w gardle. - Isabelle. Isa. Izzy. Belly - Belle. Czy zechcesz wyjść ze mną? Nie chodzi mi o wychodzenie fizyczne, będziemy mogli zostać w pokoju i popracować na stronie sieciowej promującej tego robota, jeśli tylko zechcesz. Potraktuj to wyjście hipotetycznie. Jakbyś rzeczywiście miała z kimś pójść wieczorem w jakieś ciekawe miejsce, na przykład ze mną i na

przykład pod arkady.

Spojrzałam mu w oczy i wyczytałam w nich to, czego nie powiedział: *Ilekcioć cię widzę, muszę odwoływać się do całego swego opanowania, żeby nie chwycić cię w ramiona i nie spijać z tego zdroju twoich ust.*

- Nie boję się ciebie, Isa - Edwart - powiedziałam, wymawiając jego imię równie ciepło, jak on w tej sytuacji wypowiedziałby moje.

- Mimo wszystko? Nadal się mnie nie boisz? Zapewniam cię, że jestem niesamowicie przerażającym chłopakiem! - Jeszcze przez dobrą minutę stał przede mną, po czym ruszył susami przez polanę. - Jakbyś rzeczywiście mogła mnie przegonić! - zawołał. - Jakbyś mogła mnie pobić! - Zamachał rękoma w powietrzu. - Jakbyś mogła mnie pokonać we wspinaczce. - Objął ramionami pień drzewa i próbował go otoczyć nogami, ale ześlizgnął się na ziemię, poderwał się więc i zawrócił truchtem w moją stronę, obejmując głowę rękoma, jakby chciał w ten sposób zwiększyć dopływ tlenu do mózgu. - I co? Boisz się wreszcie? Zgodzisz się wreszcie wyjść ze mną?

Tym mnie zaskoczył. Tylko średniowieczni rycerze w dawnych wiekach podobnie pytali o zgodę. Przypomniałam sobie nagle, ile lat ma Edwart - w końcu przed stuleciami musiał żyć w epoce Napoleona czy Jezusa.

- Tak, Edwarcie. Tak. - Przez podniecenie, które mnie ogarnęło, o mało nie posikałam się po nogach z wrażenia, tyle że od pewnego czasu już w ogóle nie sikałam po nogach. Byłam przecież starsza i teraz starałam się okiełznać swoje uczucia poprzez szybkie rytmiczne zaciskanie i rozwieranie pięści.

- Wspaniale! - wykrzyknął, po czym wytrzeszczył na mnie oczy.

No to ja wytrzeszczyłam oczy na niego. I położyłam się na trawie. A on położył się obok mnie. I oboje równocześnie jak na komendę zaczęliśmy wymachami ramion i nóg rysować na trawie anioły. Czas przeleciał nam nie wiadomo kiedy.

- Belle - odezwał się w końcu. - Pora wracać.

- Tak szybko?

- Jesteśmy tu już pięć godzin. Leżymy na trawie i gapimy się na siebie już od pięciu godzin. Proszę... Naprawdę muszę już wracać do domu.

Smętnie pokiwałam głową.

- Jak sądzisz, czy mógłbyś użyć swoich nadludzkich mocy, żeby przenieść mnie do samochodu? Nie każdy potrafi pomknąć przez gęsty las z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

- Dwustu na godzinę? Jezu!... - mruknął, ale zaraz wziął głębszy oddech. - W porządku, Belle. Pojedziemy ponad dwieście na godzinę. - Wyjął z plecaka śpiwór. - Zamknij oczy i zarzuć mi ręce na szyję.

Uczyniłam to ochoczo. Po pierwsze, runęliśmy oboje na ziemię, i to błyskawicznie. Po drugie, poczułam coś przyjemnie ciepłego i miękkiego między łydkami. A po trzecie, Edwart wykonał kilka gwałtownych ruchów i już byliśmy na nogach, i pędziliśmy w dół zbocza.

Kiedy poczułam się wystarczająco bezpiecznie, żeby otworzyć oczy, ujrzałam tuż przed nami skrzynię mojej półcieżarówki. Edwart właśnie hamował, otrzepując się z kurzu. Słońce już zaszło, odniosłam jednak wrażenie, że jeszcze resztką purpurowego odcienia gra na jego skórze.

- Podwieź mnie do mojego samochodu, jeśli łaska - rzekł. - O ósmej muszę być w łóżku.

Uruchomiłam silnik i ten zamruczał łagodnie, jak gdyby dostosowując się tonacją do charkotu, którego atak ogarnął nagle Edwarta. Popatrzyłam na strumyk słodkiej wampirzej śliny spływającej mu na brodę z kącika otwartych ust. I nagle uświadomiłam sobie, że nawet podczas tego figlowania w trawie na polanie ani razu mnie nie pocałował. Czyżby to z powodu grzyba, który rozwijał się w moich zatokach? A może raczej świadomości tego, że jedynym sposobem pozbycia się tego grzyba było wlanie mi do nosa gorącego tłuszczu, który

skutecznie zwalczyły jego kolonie? Albo też z obrzydzenia, że gdzieś w głębi serca uważam ten grzyb za nieodłączną część mego organizmu?

Nie. Skąd miały o tym wiedzieć? Grzybica zatok należała do tego rodzaju sekretów, które musiałam zabrać ze sobą do grobu.

Do grobu! To przecież było nieuniknione. Któregoś dnia miałam zginąć we wspaniałym wybuchu, podczas gdy Edwart mógł żyć dalej. Może to dlatego mnie nie pocałował. Może nie stać go było, aby się związać z osobą, której tragicznym przeznaczeniem była przemiana w miliardy roziskrzonych drobin.

Popatrzyłam na wychudzone ciało skulone na prawym siedzeniu mojego auta. Za rok miałam skończyć osiemnaście lat, a Edwart ciągle miał mieć siedemnaście. Powinien wciąż odznaczać się młodzieńczą sylwetką dwunastolatka, podczas gdy ja musiałam się zmienić w obwisły postdziecięcy organizm trawiony reumatyzmem. Nie mogłam go winić za to, że nie chciał mnie pocałować. Bo i kto chciałby całować wargi gotowe w każdej chwili obrócić się w stary, pomarszczony proch.

Chyba że i ja stałabym się wampirem! Na pewno nic nie powstrzymałoby ust Edwarta przed całowaniem moich warg, gdybyśmy oboje byli tak samo nieśmiertelni. Zatem wystarczyło mu jedynie mnie ugryźć, a już nigdy nie musiałabym się martwić, że zamienię jego piękne młodzieńcze wspomnienia w piekło walki z alzheimerem.

Mniej więcej trzech rzeczy byłam całkowicie pewna. Po pierwsze tego, że Edwart był zapewne moją bratnią duszą, przynajmniej prawdopodobnie. Po drugie tego, że miał osobowość wampira, która łaknęła mojej śmierci - jak należało przypuszczać, pozostającą poza jego kontrolą. A po trzecie tego, że bezwarunkowo, nieodwołalnie, zatwardziało, heterogenicznie i ginekologicznie pragnęłam, żeby mnie pocałował.

7. MULLENOWIE

Świt koloru skorupy jajka obudził mnie swoją łagodnością. Moja prawa noga spoczywała pod moją lewą pachą, a wypchany Drakula tkwił rozplaszczony pod moim ramieniem. *No tak, początek kolejnego rozdziału.*

Usiadłam chwiejnie i mimowolnie wydałam z siebie mrozący krew w żyłach krzyk. W moim pokoju był wampir! I także darł się wniebogłosy!

- Co ty masz na twarzy?! - wrzasnął Edwart.

- Co? Co? - Uniosłam palce do policzków i wymacałam coś lepkiego. - To tylko moja nawilżająca maseczka na noc. - Wiedziałam, że przez tę maseczkę wyglądam jak wojownik dzielnie stawiający opór wysychaniu skóry twarzy.

Domyśliłam się po minie Edwarta, że próbował mnie zrozumieć. Pewnie po to, żebym nie czuła się zakłopotana, schylił się, zgarnął palcem trochę błota z podeszwy swego buta i rozmazał je sobie na policzkach. Następnie uśmiechnął się do mnie. Jakie to urocze, pomyślałam. Następnie zawył z wściekłością, zazgrzytał zębami i gwałtownym ruchem zgarnął błoto z oczu. Jakie to romantyczne, przemknęło mi przez myśl.

- Jak się tu dostałeś? - zapytałam, gdy wreszcie przestał młócić rękoma jak cepami.

- Powiedziałem twojemu tacie, że mamy razem pracować nad pewnym projektem naukowym - odparł.



- Teraz? Z samego rana?

- Jest pierwsza po południu, Belle.

Przypomniałam sobie, że wczoraj wieczorem ułożyłam się z głową na podłodze i nogami na łóżku, żeby przygotować się do przemiany w nietoperza, co było moim przeznaczeniem. Ale około piątej nad ranem poddałam się i zasnęłam w pozycji bardziej dostosowanej do mojej alternatywnej kariery w roli instruktorki wampirzej jogi.

Obrzuciłam go podejrzliwym wzrokiem przez swoje szkło powiększające.

- Czyżbyś zjawiał się tu potajemnie każdego wieczoru, żeby obserwować mnie podczas snu?

- Nie! Nie! Oczywiście, że nie! To byłoby wariactwo! Zjawiłem się tu zaledwie przed kilkoma minutami. - Urwał, po czym dodał ciszej: - Wyglądasz pięknie, kiedy śpisz.

Zaczerwieniłam się. Do maseczki nawilżającej był dołączony arkusik samoprzylepnych pieprzyków, które umiejętnie porozmieszczałam na twarzy.

- Dzięki. Czyżbym... coś zrobiła albo coś powiedziała? - Wiedziałam, że gwałtownie obudzona potrafię ugryźć, co przysparzało mi kłopotów na letnich obozach, a zarazem stało się źródłem sympatii do Edwarta. Byłam też znana z gadania przez sen. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nieświadomie nie ujawniłam niczego, co by mnie wprawiło w zakłopotanie, jak choćby tego, że dość często się przewracam.

- Wymówiłaś moje imię - odparł z tajemniczym uśmiechem.

- Naprawdę?

- Tak. Było trochę niewyraźne, zabrzmiało jak „Edwin”, tylko z jakiego powodu miałabyś wymawiać przez sen imię „Edwin”? - Zaśmiał się.

Nagle przypomniałam sobie, co mi się śniło: ta jedyna osoba, z którą bardzo bym chciała zjeść kolację, nawet jeśli już nie żyła, a mianowicie sekretarz wojny Stanów Zjednoczonych z okresu



kadencji Lincolna, Edwin Stanton.

- No właśnie... to śmieszne! - przyznałam, ogarnięta poczuciem winy, toteż szybko wyskoczyłam z łóżka i podeszłam do lustra wiszącego nad biurkiem. Włosy miałam zmierzwione i rozczochrane. Postanowiłam je tak zostawić. Wyglądałam przez nie jak retrolaska z lat osiemdziesiątych. - Jakie masz na dzisiaj plany, Edwarcie?

- Po ukończeniu projektu naukowego?

- Myślałam, że już postanowiłeś poddać się kontroli mojego ojca, żeby sprawdzić, czy jesteś wystarczająco dobry, by ze mną chodzić.

- On jeszcze mnie sprawdza - rzekł Edwart, nie kryjąc wstrząsającego nim dreszczu. - Najpierw zmył mnie pionowym pociągnięciem jednej strony swojej wycieraczki, po czym osuszył mnie poziomym ruchem drugiej strony. - Wzruszył ramionami. - Ja zrobiłbym to samo dla swojej córki. W każdym razie masz rację, nie czeka na mnie żaden pilny projekt naukowy. Czy próbowałaś kiedykolwiek zrobić wulkan? Usypuje się stożek z ziemi, robi zagłębienie na szczycie i wypełnia je mieszaniną czerwonego barwnika spożywczego, octu i sody oczyszczonej. Ta mieszanka wybucha jak prawdziwy wulkan! Efekt jest niesamowity.

Zrobiliśmy nawet dwa wulkany, żeby była jakaś konkurencja. Edwart wykrzykiwał z podnieceniem: „Och, mój Boże! Ale super! Super!”, nawet jeszcze wtedy, gdy już zgarnialiśmy błoto z podłogi. Kiedy skończyliśmy sprzątać kuchnię, zasiadł w fotelu Jima. Dziwnie się czułam, widząc go w tym fotelu, w którym parę godzin wcześniej siedział mój ojciec i w którym przed wiekami mogły zasiadać wilkołaki rdzennych Amerykanów.

- Moja mama bardzo chciałaby cię poznać - rzekł. - Między sobą nazywamy cię Belle - issima. Powstało już sporo niezłych dowcipów na ten temat.

- Bardzo się cieszę! Tylko... czy jej się spodobam? -



zapytałam, głównie na pokaz, bo rodzice koleżanek zazwyczaj mnie lubili.

- Oczywiście! - rzekł. - Zależy jej na moim szczęściu. Nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś leżała w śpiączce czy też była poważnie oszpecona.

Od razu pomyślałam o mojej skłonności do spania i o prawej nodze, którą miałam odrobinę dłuższą od lewej. Zatem Edwart zdążył już spostrzec moje niedoskonałości.

- No właśnie, bierz mnie łącznie z prawą nogą albo rzuć - powiedziałam z irytacją w głosie. - Podobam się wielu chłopcom ze szkoły.

Wbił wzrok w ziemię, rzecz jasna przy czubku stopy mojej feralnej nogi. Ale po sposobie, w jaki zamilkł i tylko podrapał się po głowie, już wiedziałam, że akceptował mnie i moją nogę w takiej postaci, w jakiej byłyśmy.

- Chciałabyś pójść ze mną już teraz? - zapytał po kilku minutach cichej kontemplacji, prawdopodobnie o tym, ile miał szczęścia, że się związał z normalnym człowiekiem.

Doszłam do wniosku, że jeśli to, co mówił o swoich rodzicach, jest prawdą, nie będą mieli nic przeciwko, gdy stanę przed nimi w mojej jednoczęściowej pizamce.

Edwart polubił prowadzenie mojego wozu, pewnie dlatego, że w kabinie było wystarczająco dużo miejsca na jego wielki wypchany plecak, z którym się nie rozstawał. Dojechaliśmy do końca mojej ulicy, minęliśmy „Baterie Ostatniej Okazji”, „Wideo Bezzwrotne” oraz „Książki Absolutnie Ostatecznego Końca”. Edwart wyprowadził auto na autostradę i minął kilka zjazdów. Zaczynałam się niepokoić. Chciałam już zapytać, czy lubi mnie dla samej mnie, czy z powodu moich skaleczeń od papieru, kiedy niespodziewanie zawrócił.

- To takie zabawne auto! - wykrzyknął, klaksonem zganiając innych kierowców z naszego pasa. Ale gdy mijaliśmy jadącą sąsiednim pasem wielką ciężarówkę, jej szofer w odpowiedzi

uruchomił swoją syrenę.

- Oho - mruknął z respektem Edwart. - Jest za duży dla nas.

Zdjął nogę z gazu, zwolnił i po chwili skręcił na zjazd do Switchblade.

- To było niebezpieczne, prawda? - zapytał, wyraźnie podenerwowany. - I ja jestem niebezpieczny, prawda?

- Oczywiście, Edwarcie - odparłam, myśląc nie tyle o jego sposobie prowadzenia samochodu, ile o jego ostrych zębach gotowych rozciąć mi skórę.

Kilka minut później skręciliśmy na podjazd przed domem odległym od mojego zaledwie o kilka przecznic, ale stojącym już w tej bogatszej i wampirzej części miasta.

- No i jesteście - rzekł, wyskakując z szoferki. Czule poklepał błotnik auta. - Stanowimy dobraną parę. - Przytknął policzek do krawędzi maski. - Nikt nam nie podskoczy.

Gdy tylko weszliśmy do środka, rodzina Edwarta rzuciła się na powitanie. Miałam wrażenie, że w jednej chwili otoczyło mnie co najmniej trzydzieści trajkoczących i szczebioczących osób.

- O mój Boże, jak ty pięknie pachniesz!

- Piękny zapach! Piękny zapach!

- Ona naprawdę pięknie pachnie.

- Pozwolisz, że przytknę do ciebie swój nos? O, tutaj, blisko pachy?

- Więcej takich pięknych zapachów proszę.

- Gdybym musiał zniszczyć każdą cząstkę mego umysłu poza tą, która odbiera twój zapach, zrobiłbym to bez wahania, w jednej chwili.

- Chodźmy, Belle - szepnął Edwart, biorąc mnie za rękę. Przepchnęliśmy się przez tłum wygłodniałych wampirów i wyszliśmy z powrotem przed dom.

- Przynajmniej to wyszło dobrze - powiedziałam, gdy stanęliśmy przed samochodem. Powąchałam swoje włosy. Rzeczywiście ładnie pachniały.

- Ależ to nie był mój dom - wyjaśnił Edwart, uruchamiając

silnik. - Nawet nie znam tych ludzi! Czasami jeszcze myślą mi się adresy.

Podjechaliśmy pod większą posiadłość. Dopiero gdy ruszyliśmy w stronę werandy, zauważyłam, że dom wcale nie jest genialnie wkomponowany w ciągnącą się za nim linię lasu, jak mi się początkowo zdawało, a tylko sprawia takie wrażenie, gdyż jest cały ze szkła. Zdumiona, rozejrzałam się dookoła. Chodnik był ze szkła i skrzynka na listy też. Nawet wycieraczka wyglądała na zrobioną z włókna szklanego. Postanowiłam nie wycierać o nią butów.

- Nasz dom jest otwarty. Nie mamy nic do ukrycia - oznajmił Edwart. - Każdy może zajrzeć do środka w dowolnej chwili i zobaczyć, co robimy.

Od razu wyobraziłam sobie jego rodzinę zebraną wokół stołu w salonie i popijającą koktajle z krwi.

- Wasi sąsiedzi nie zabierają głosu w tej sprawie? - zapytałam.

- No cóż, nawet nie otwierają już żaluzji. Twierdzą, że to „niegodne”, ale mój tata jest tak dobrym chirurgiem plastycznym, że nikt już nie zwraca na to uwagi.

Ojciec Edwarta, doktor Claudius Mullen, otworzył nam drzwi, kiedy zadzwoniliśmy. Był nadzwyczaj szanowany w Switchblade za wargi Angeliny Jolie. Ludzie mówili, że sam ją operował przez wiele godzin. Musiałam przyznać, że osiągnął zdumiewający rezultat.

Eva Mullen, mama Edwarta, błyskawicznie wyrosła za plecami męża.

- Edwart, kochanie! - zawołała.

- Mamo, poznaj Belle.

- Och, jesteś cudowna! Dużo cudowniejsza, niż myślałam. Edwart jest taki niezwykle, rozumiesz...

Zaufajcie mi, pomyślałam. Znam prawdę.

- Wygląda pani jak gwiazda filmowa z lat dwudziestych! - wycodziłam, jako że byłam miłośniczką wczesnych horrorów.



- Dziękuję ci, Belle - odezwał się doktor Mullen. - To moje dzieło. Oczywiście, rzecz jasna, pozostały te same. Ale serce jest wynikiem transplantacji.

A więc dlatego moje wampiry były aż tak przystojne. I tak okrutne.

- Miło mi państwa poznać - powiedziałam, wyobrażając sobie, jak cudownie by się prezentowali na naszych zdjęciach ślubnych. Przez dobrą minutę zamartwiałam się fotografiami przedstawiającymi obie rodziny, ale w końcu uznałam, że nie będzie z tym problemu, jeśli poproszę Jima, żeby przyjął rolę fotografa.

- To zresztą jeszcze nie wszystko, czego dokonałem na tej rodzinie - dodał doktor Mullen. - Zwróciłaś uwagę na wspaniałe czoło Edwarta?

- Tato! - jęknął Edwart.

Mullenowie zamilkli w jednej chwili.

Poczułam się nagle niezręcznie, jakbym nie wiedziała, co zrobić ze swoimi kciukami. Sięgnęłam więc po komórkę i pospiesznie wystukałam SMS do Lucy z pytaniem: „kolacja?”. Nie byłam pewna, czy zostawiłam jej swój numer i czy dość przypadkowy ciąg cyfr, jaki wystukałam na klawiaturze, jest jej numerem.

Kiedy podniosłam wzrok, Eva i Claudius także coś wstukiwali w swoje komórki. Rozejrzałam się szybko po pokoju za czymś, co mogłabym pochwalić, kiedy znowu nadejdzie pora zabrania głosu. Miałam już ochotę zwrócić uwagę na niezwykle kontakt elektryczny w rogu pokoju, gdy mój wzrok padł na fortepian koncertowy.

- Ładny instrument - zauważyłam, widząc już oczyma wyobraźni, jak świetnie będzie się prezentował na zdjęciach ślubnych, oczywiście zakładając, że Jim nie zechce się jednak uwiecznić w jego tle. - Gracie?

- Nie, skądże - odparła Eva Mullen. - Tylko Edwart to umie!

- Troszeczkę - odrzekł ten wstydliwie.



- Śmiało, zagraj coś! - zachęciła go matka. Sięgnęła po trójkąt leżący na pianinie i podała go synowi, a ten zaczął na nim wydzwaniać. Przypominało mi to odgłosy dobiegające z placu budowy wcześniej rano.

- Och... Pomyliłem się. Zacznę od początku - rzekł.

Zaczął dzwonić od nowa.

- Chwileczkę... Chyba wyszedłem z wprawy. Jeśli pozwolicie, zacznę od początku.

Kiedy Edwart kontynuował wydzwanie na trójkącie, Eva zamknęła oczy i uniosła ramiona, po czym zaczęła się rytmicznie kołysać w rytm dzwonienia syna. Edwart uniósł trójkąt wyżej, jakby zbliżał się do wielkiego finału, ale zaraz opuścił go gwałtownie, uderzając nim o pokrywę fortepianu. Zaczął więc bębnić w fortepian, wkładając w każde uderzenie całą energię swojego wątłego, wychudzonego ciała. Mimo to z fortepianu wydobyły się dźwięki. Ich brzmienie przeniknęło cały pokój.

Kiedy skończył, ostrożnie zsunęłam ręce z uszu.

- Napisałem to dla ciebie - rzekł, przyciągając mnie. - Nazwałem to *Kołysanką dla Belle*.

- Będę jej słuchała każdego wieczoru! - odparłam.

Pomyślałam, że jeśli ściszę odtwarzacz do końca, będzie mi się podobała. Była to trzecia kołysanka napisana specjalnie dla mnie, włączając w to również tę skomponowaną przez Cartera Burwella.

Po obiedzie Edwart zabrał mnie na górę do swojego pokoju. U szczytu schodów stał wielki drewniany krzyż.

- Jak na ironię, co nie? - zagadnął.

- Nie rozumiem - odparłam z trwogą, wyobrażając sobie, że w każdej chwili on może się zamienić w proch, który będę musiała pozbierać i porozsypywać w swoim pokoju, żeby już na zawsze pozostał ze mną.

- Ponieważ jesteśmy Żydami, choć oczywiście niepraktykującymi.

Trzy z czterech ścian (bo ta czwarta była ze szkła) pokoju

Edwarta zajmowały płyty kompaktowe. Stały na setkach półek, a ja nie mogłam rozpoznać tytułu ani jednej z nich.

- Och! - wykrzyknęłam, odniósłszy wrażenie, że dostrzegam jakąś znajomą. - Nie, to nie to.

Weszłam głębiej.

- Ach, tutaj... nie, to też co innego.

Obróciłam się w stronę kolejnego regału.

- Zaraz! Nie...

Przyszło mi do głowy, że powinnam się skupić na odczytywaniu nazw zespołów i albumów zamiast na wyglądzie graficznym płyt. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że są to bez wyjątku zapisy muzyki Edwarta odtwarzanej na trójkącie i jakimś keyboardzie.

- Eva śpiewa na moich płytach - pochwalił się z uśmiechem.

- Chcesz posłuchać? Śmiało, będziemy mogli zatańczyć!

- Nie! - wrzasnęłam. - Ja nie tańczę!

Zrobił przerażoną minę. Gdy tańczyłam po raz ostatni, skończyło się to pożarem w kawiarni. Byłam pewna, że wkrótce całe miasto mogłyby ogarnąć zamieszki, przy czym zaledwie garstka byłaby gotowa mnie bronić na podstawie moich własnych wyobrażeń o wampirzych krokach lunatyka. Reszta byłaby pewna, że jestem czarownicą.

- Przynajmniej jeszcze nie teraz - dodałam szybko.

Mój czas miał niedługo nadejść. Rewolucja mogła poczekać.

- Dobrze, w porządku. Chodźmy w takim razie do gabinetu ojca. Opowiem ci, jak doszło do tego, że został chirurgiem plastycznym. A bohaterami tej opowieści są koszmarnie oszpecone stworzenia!

Pokazał mi zdjęcia pacjentów doktora Mullena ukazujące ich wygląd przed operacją i po niej. Zakładałam, że te pierwsze zostały zrobione, zanim je pokąsał, a te drugie przedstawiały już same wampiry. Bo przecież tylko wampiry odznaczały się prostymi smukłymi nosami, kształtnymi piersiami i twarzami pozbawionymi wyrazu. I do tego były piekielnie bogate!

- Jak można się zapisać na wizytę u doktora Mullena?

- Czemu pytasz? Przecież jesteś piękna, Belle.

- Tak, jestem - odparłam szybko.

Zareagował tak, jakby nie chciał, żebym przechodziła cierpienia okresu wyrastania nowych zębów. A przecież nie miał na to wpływu! Kiedy wyrastały mi zęby mądrości, ani trochę mnie nie bolało!

- Nie - orzekł stanowczo. - Nie masz powodu się z nim spotykać.

Sądząc po jego śmiertelnie poważnej minie, prawdopodobnie zastanawiał się, czy ma mnie ugryźć sam, a jeśli tak, to czy żuć przy tym gumę, żeby zamaskować ewentualny nieświeży oddech. Pewnie rozważał, czy powinien wcześniej wypluć tę gumę, czy raczej zostawić ją w ustach i ukryć pod językiem, żebym nie zauważyła. Może nie miał jeszcze pewności, czy miętowa guma dobrze się komponuje ze smakiem krwi.

- Dosyć! Wystarczy! - powiedziałam ostro, żeby przerwać jego hipotetyczne rozważania. - Wracajmy do mnie, dobrze?

Uznałam, że może łatwiej mu będzie mnie ugryźć w innym otoczeniu. Na przykład w kuchni. Wśród smakowitego aromatu wiewiórki piekącej się w kuchence mikrofalowej i nasilającego cieknięcia ślinki pobrękiwania sztućców.

- Tak, dobrze. Czy mógłbym cię jednak wysadzić w pewnej odległości od domu? Nie chciałbym znowu spotkać się z twoim tatą. Nie wymyśliłem jeszcze żadnych nowych tematów do rozmowy od czasu poprzedniego spotkania. Wyglądałoby to nienaturalnie, gdybym ich wcześniej nie przećwiczył, nagrywając się na kasecie wideo.

Zamarłam. Jim. Całkiem zapomniałam o tej następnej komplikacji. Mój ojciec nigdy by nie dopuścił, żeby Edwart mnie ugryzł, chyba że sam planował poczęstować moją krwią jeszcze Claudiusa i Evę. Jim żył według ścisłych zasad etycznych. Zatem Edwart powinien mnie ugryźć, zanim wrócę do domu.

- To może pójdziemy na piechotę? *Przez cmentarz!*



Jedną z rzeczy, których nauczyłam się od mamy, jest to, że trudno odmówić żądaniom opisywanym kursywą. Tylko w ten sposób udawało jej się tydzień po tygodniu wybijać mi z głowy kupno płatków śniadaniowych we wszystkich kolorach tęczy.

- W porządku - odparł.

- Zaraz, zanim wyjdziemy... Ugryź to. Dla wprawy.

Wyciągnęłam ku niemu moje blade ramiona, z dłońmi złożonymi razem, między którymi spoczywało jaskrawoczerwone jabłko wykradzione przeze mnie z fałszywej kuchni na dole.

Edwartowi nawet ręka nie zadrżała, kiedy brał ode mnie wyzywający owoc. A gdy otworzył usta, zwróciłam uwagę, jak błyszczą jego opalizujące zęby. Powoli uniósł jabłko do rozchylnych warg, podczas gdy w kącikach ust już zbierała mu się ślina. Zamknął oczy. A ja otworzyłam swoje serce.

- Hej! - wykrzyknął, patrząc podejrzliwie na nietknięte jabłko, a następnie na moją nietkniętą głowę tkwiącą na tak samo nietkniętej szyi.

- Ono jest z plastiku! - Zarechotałam, wrywając mu jabłko. Byłam bliska łez z powodu tego komicznego figla, jakiego spłatało mi moje niezrównane poczucie humoru.

Edwart odłożył plastikowe jabłko z powrotem do koszyka pełnego imitacji owoców, który stał obok wazonu ze sztucznymi kwiatami i talerza z zapewne tak samo sztucznym chlebem.

Popatrzyłam na niego z miłością w oczach, przyklejając sobie na karku małą tarczę strzelniczą. Czy ugryzłby mnie, gdyby mu na tym zależało? - przemknęło mi przez myśl. Czy potrafił kąsać ruchomy cel? A jeśli ten ruchomy cel znajdował się w odległości pięćdziesięciu metrów przy prędkości wiatru dochodzącej do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę? Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy w stronę cmentarza. Jeżeli mogłam wierzyć tęsknocie mego serca oraz wskazaniom krokomierza, zaledwie dziewięćset pięćdziesiąt dwa kroki dzieliły mnie od tego, żeby stać się krwiopijczynią.

8. CMENTARZ

Szliśmy obok siebie, romantycznie zahaczeni wskazującymi palcami. Wyłaniający się przed nami cmentarz spowijał gęsty mrok nocy, rozjaśniony jedynie srebrzystą poświatą księżyca. Zapadł zmierzch!

Czułam, jak kipi we mnie podniecenie. Tak, mój romantyczny podbój miał ostatecznie przynieść owoce. Mogłam udowodnić Edwartowi, że i ja mogę zostać wampirem, ściągając go w miejsce stykające się ze światem wampirów. To był bezbłędny plan.

Rety, ale mama i tata się zdziwią! I wszyscy znajomi z Phoenix! Jeszcze przed świtem powinnam nie tylko przeistoczyć się w wampira, ale w dodatku mieć wreszcie przekłutą górną część ucha. Bo chciałam poprosić Edwarta, żeby przed ugryzieniem mnie przebił swoimi ostrymi kłami górną część mojej lewej małżowiny. Liczyłam na to, że ma przy sobie hipoaergiczny kolczyk. Zaciekawilo mnie, co pomyślą ludzie w szkole, kiedy zobaczą mnie w nowej postaci. Obawiałam się, że będzie to: „Ach! Wampirzyca! Kołkiem w nią!”.

Jednakże im bliżej byliśmy bramy, tym bardziej Edwart stawał się niespokojny, a to sugerowało wyraźnie, że coś jest nie tak. Zwolniliśmy kroku, a gdy spojrzałam na niego, uświadomiłam sobie, że jego chód stał się nienormalny. Chwiał się mocno, trzymał się ręką za brzuch i miał dziwny wyraz

twarży - minę nietoperza zmuszonego do pełzania między nagrobkami na czworakach. Szczerze mówiąc, bardzo często widziałam taką minę na twarzy Edwarta.

- Co się stało? - zapytałam.

- Na pewno musimy iść przez cmentarz? Potrzebne mi moje lekarstwa. Nie brałam ich przez dwa dni i wszystko, co nasila strach, przyprawia mnie o straszne mdłości. Prawdę powiedziawszy, wszystko, co budzi silniejsze emocje, przyprawia mnie o mdłości.

Zaciekawiło mnie, dlaczego strach miałby stanowić aż taki problem? Przecież zbliżaliśmy się do cmentarza, a więc dla wampirów czegoś w rodzaju rodzinnego centrum rozrywki sieci Chuck E. Cheese! Uprzytomniłam sobie jednak, że powinnam się wcielić w troskliwą opiekunkę.

- Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie będziesz mógł się położyć - powiedziałam z matczyną troską w głosie, lecz zarazem uwodzicielsko.

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam w głąb cmentarza, ale chwycił pręt bramy i głęboko wbił pięty w ziemię. Próbowałam rozewrzeć mu palce, jeden po drugim, nie zważając na jego skowyt. W końcu, wykorzystując masę ciała, zdołałam go przepchnąć za bramę. Wkroczyliśmy na teren cmentarza, czy też raczej, jak mi się zdawało, w żargonie wampirów „Co - meny - tarza”. (Dopiero później się dowiedziałam, że i oni używają normalnego określenia cmentarza).

Kiedy Edwart coś mówił (Bo kto mógł być pewien, o czym on mówi? I kto go słuchał? Chociaż było to przyjemne), zmieniałam sposób uścisku naszych dłoni i z czułością drugą ręką zakryłam mu usta. Wyobrażałam sobie, jak będę wyglądać po zakończeniu transformacji. Prawdopodobnie musiałabym nosić na co dzień legginsy zamiast rajstop i nikt nie śmiałyby się do mnie odezwać ze strachu przed tym, że go ugryzę. A jak zaczęto by mnie przezywać? Być może Alice, bo to imię doskonale pasuje wampirzycom. A jakie miałabym specjalne uzdolnienia?

Zapewne zdolność picia krwi bez zakąski i popitki.

Nastrój był idealny. Cmentarz spowity mętным blaskiem zdawał się nawoływać: „Skosztuj krwi swojej dziewczyny! Jest na to gotowa! Uważa się za obiekt! Nie musisz nawet specjalnie się wysilać - wystarczy, że otworzysz usta, a ona sama nadzieje się na twoje kły, jeśli brak ci do tego siły!”. I zanim oprzytomniałam, sama wykrzykiwałam to prosto do ucha Edwarta. Natychmiast zamilkłam, przeprosiłam go serdecznie i odstąpiłam na krok, żeby stworzyć mu intymną przestrzeń.

Obrzucił nerwowym spojrzeniem pobliskie nagrobki, po czym przyciągnął mnie do siebie i ściskając kurczowo za rękę, wycedził:

- Nie... oddalaj... się... ode... mnie...

Pospiesznie wtulił mi głowę w ramię. Wyglądało to na gest neutralny.

Błyskawicznie dokonałam przeglądu otoczenia i w myślach sformułowałam jego opis. Z wybujałej trawy wyłaniały się rzędy nagrobków. Przypominały równy szyk nagrobkowych żołnierzy, ustawionych w nagrobkowym szyku do nagrobkowych celów. Rzeczywiście był to grobowy widok. Odniosłam wrażenie, że poza nagrobkami były jeszcze jakieś drzewa i inne rzeczy.

Kiedy szliśmy wijącą się zakosami alejką, coś przyszło mi do głowy. Nie była to jakaś zasadnicza myśl podsunięta przez dojmujący głos wewnętrzny, jak ta, która stawia pytanie, czy się boisz, a jeśli zaprzeczasz, mówi: Jeśli kiedykolwiek spróbujesz się mnie pozbyć, do końca życia będziesz tego żałować. Moja myśl ograniczała się do pytania: A jeśli stanę się szczególnie złaknionym krwi wampirem? Jeśli jest to jedyny powód, dla którego Edwart mnie dotąd nie ugryzł, bo tym samym zniszczyłby moją duszę? A gdyby jego mama poczęstowała mnie plackiem z brzoskwiniami, tak pysznym, że nie mogłabym się opanować, dopóki nie zjadłabym wszystkiego, podczas gdy jego rodzina tylko by mnie obserwowała łakomym spojrzeniem? Może w ogóle nie powinnam była tykać hot dogów? Nie byłam

jednak gotowa na to, żeby lekkomyślnie pozwolić, by cała ludzka żywność się zmarnowała. Zresztą do dziś nie umiem powiedzieć, dlaczego po przygotowaniu potrawy dla mnie Eva tak samo obsłużyła resztę rodziny. Tyle że to było koszmarnie domniemane. A gdybym nie wpadła na to, żeby ruszyć wokół ich stołu i nakładać sobie różnych potraw na swój talerz?

- Edwarcie - zagadnęłam, gdy doszłam do wniosku, że najwyższa pora na szczerość. - Gdybym była wampirzycą, nie miałabym żadnych oporów przed wywołaniem krwawienia u ludzi, nawet u Lucy. Pamiętam, jak mówiłam ci, że gdybym została wampirzycą, przede wszystkim zaprosiłabym Lucy na dobry film akcji do ciemnego, rzadko uczęszczanego kina, ale to był żart. Mówiąc zupełnie poważnie, w pierwszej kolejności ugryzłabym piękny rododendron i zgarnęła Nagrodę Nobla za wyhodowanie nieśmiertelnego gatunku rośliny zdolnej przeżyć nawet na pustyni.

- Belle - odrzekł, chwytając mnie za obie ręce. - Jeśli nie usiądziemy, zaraz obrzygam któryś z nagrobków. Nie wiem czym, bo nic dzisiaj nie jadłem, piłem tylko sok pomarańczowy z wodą sodową, ale może to być nawet moja nerka, nie mówiąc już o obu nerkach.

- Jasne.

Po dalszych dwudziestu minutach wędrówki w blasku księżycy usiedliśmy przed najlepiej wyglądającym nagrobkiem, jaki namierzyłam, gdyż pokrywał go gruby plusz. Na tablicy było wykute: „James C. «Król Skóry» Murphy, 1906 - 1975, Król skóry i właściciel sklepu z wyrobami skórzanymi”.

Ledwie usiedliśmy, zaczęliśmy się napawać rodzącym się między nami romanssem, jak gdyby niezwykle ciepło narastało w sercu każdego z nas. Mam wrażenie, że to właśnie odczuwają stare małżeństwa każdego dnia...

- Edwarcie - powiedziałam. - Jestem taka wdzięczna, że mogę być tutaj z tobą. Lepiej się już czujesz?

- Tak, Belle. Dużo lepiej.



Uśmiechnęłam się w duchu do mojego wampirzego jestestwa. Byłam szczęśliwa, bo świetnie pamiętałam zakłopotanie, z jakim odkryłam na zakończenie ósmej klasy podstawówki, że mój ojciec jest dużo starszy od ojców moich koleżanek. Edwart i ja mieliśmy się nigdy nie zestarzeć. Zaczęłam na nowo skrapiać się swoimi grejpfrutowymi perfumami, by nie odniósł wrażenia, kiedy mnie już ugryzie, że moja krew niesie ze sobą smród ciała niemytego od wielu tygodni.

- Co to za zapach? Grejpfrutowy? - zaniekawiał się.

Aż mnie zaskoczyło, że całkiem nie zapomniał, czym się ludzie odżywiają, jak się to przydarza większości wampirów. Ale z drugiej strony nie miałam się czemu dziwić, bo moje perfumy naprawdę pachniały jak grejpferty.

- Nie pasjonujesz się tym, że możesz przebywać wśród tylu martwych ludzi? - zapytałam, szerokim gestem wskazując otaczające nas nagrobki.

- No cóż, jeśli mam być szczery, odnoszę wrażenie, że do pewnego stopnia jest to śmieszne. Najchętniej wyniosłbym się jak najszybciej z tego cmentarza, upewnił się, że bezpiecznie wrócisz do domu, po czym ułożył się na swoim łóżku ze szklanką rozcieńczonego ginger ale.

Jakież to było słodkie z jego strony, że odważył się powiedzieć coś, co ani trochę nie przystawało wampirowi. Niby od niechcienia wyciągnęłam szyję ku niemu, mrużąc oczy od księżycowej poświaty.

- Na pewno nic ci nie dolega w kark? - zapytał.

- Sama nie wiem. A dolega? Co o tym myślisz, Edwarcie? - Sugestywnie pomasaowałam sobie kark, jakbym spędziła noc z głową na stercie kanciastych brył węgla.

- Bardzo cię boli? - zapytał.

Musiałam szybko coś wymyślić. Czyżby chciał, żeby mnie bolało? Podejmował jakąś dziwną wampirzą grę przygotowaną specjalnie na okazję, kiedy można wbić zęby w czyjś bolący

kark. Matka zawsze mi powtarzała, że każdy owoc jest dojrzały wtedy, gdy podczas obierania sprawia takie wrażenie, jakby go to bolało.

- Ach... no, tak... - wyjąkałam, w duchu dziękując mocom, dzięki którym uczestniczyłam minionego lata w ponadprogramowym obozie szkolnym. - Boli... nawet bardzo.

I oto stało się coś niewiarygodnego. Edwart zaczął masować mi kark. Silne dreszcze wstrząsnęły całym moim ciałem. Złapałam go za palec, dosłownie odurzona jego pieszczotami, i otworzyłam szeroko usta, złakniona tlenu niczym ryba wyrzucona na brzeg i pragnąca wrócić do wody. Kilka razy poklepał mnie po karku. Miałam wrażenie, że robi to w taki sam sposób, jak lekarze pstrykający w ampułki z lekami, żeby wypchnąć z roztworu pęcherzyki powietrza.

- Jak to odbierasz? - zapytał.

- Jakbym była... szczęśliwa. - Prawdę mówiąc, moje odczucia były całkowicie nieopisywalne. Najprędzej przedstawiłabym je jak ścieżkę wiodącą przez zarośla jeżyn.

- No to wspaniale! - oznajmił, natychmiast przerywając masaż. - Wyjątkowo szybko poszło!

- Aha... Tylko wiesz co? - mruknęłam, znowu improwizując.

- Znow mnie boli. Nawet bardziej. Dużo bardziej. Wiesz co? Mam pomysł! Może ugryź mnie w kark, żebym już nigdy nie odczuwała takiego bólu!

Popatrzył na mnie, jakby miał przed sobą wariatkę - rzecz jasna, oszalałą z miłości - podczas gdy ziemia pod naszymi stopami zaczęła się gwałtownie trząść.

- Co się dzieje? Czyżby to był początek procesu transformacji? - zapytałam co nieco podenerwowana.

- A nie trzęsienie ziemi? - podsunął Edwart z lodowatą kalkulacją typową dla wampirów.

Nagle ziemia się pod nami rozstała, najbliższy nagrobek pękł na pół, a z grobu wynurzyła się postać o zakrwawionych kłach, w czarnej pelerynie, której wysoki zaokrąglony kołnierz

był gładko położony na karku wbrew oczywistym trendom najnowszej mody.

- Czy ty... jesteś „Królem Skóry”? - wydusiłam z siebie.

- Nie - odrzekła postać. - Naprawdę nie rozpoznajecie mnie?

Przyjrzałam się dokładniej: blada twarz, peleryna, czerwone oczy, nadzwyczaj długie kły. Nie, nie potrafiłam go zidentyfikować.

- Czyżbyśmy... znali się z pracy? - podsunęłam, usiłując sobie przypomnieć twarze wszystkich współpracowników. Wyszło jednak na to, że nie mogłam sobie nawet przypomnieć, czy miałam stałą pracę.

- Grobie drogi, Belle... Siadałem przy tobie codziennie na lekcjach angielskiego!

- Przykro mi, ale wszystkie twarze szkolnych kolegów zlewają się w moim umyśle w niewyraźny konglomerat, w którym wyróżnia się tylko jedna twarz, Edwarta Mullena, miłości mojego życia.

Powoli, złowieszczo klasnął w ręce.

- W takim razie gratuluję wam obojgu - rzekł. - Mam nadzieję, że będziecie razem żyli naprawdę długo i szczęśliwie w swoim małym domku z frontowym podwórkiem porośniętym starannie przystrzyżoną trawą. Czy wiecie, co jest w was wyjątkowego? Naprawdę wyjątkowego? Wszystkich nas ogarnia nieopisana zazdrość na widok waszej przytłaczającej wzajemnej miłości.

- Dziękuję.

- Wracając do rzeczy, nazywam się Joshua i jestem wampirem. Nie chcę być niegrzeczny, ale właśnie wkroczyliście na obszar mojej grobowej posiadłości. Bardzo mi przykro z tego powodu, Belle, bo szczerze uważam, że jesteś bardzo atrakcyjna, chociaż nie stosujesz makijażu i nie dbasz o najnowsze trendy mody. Powiem w zaufaniu, że miałem straszną ochotę zaprosić cię na bal promocyjny pod koniec pierwszego tygodnia szkoły. Teraz jednak tak się nieszczęśliwie składa, że będę zmuszony

pozbawić was życia, żeby się wyżywić.

Aż mnie zatkało. Jeszcze jeden wampir? Może to i miało sens, stany regionu północno - zachodniego Pacyfiku słynęły ze swojego prawodawstwa pobłażliwego dla wszelkich potworów.

Ale stojący przy mnie Edwart wrzasnął dziko i zasłonił oczy, jakby w wyobraźni chciał uczcić swoje zwycięstwo nad tym ekstrawagancko odzianym wampirem. Odprężyłam się i niedbale oparłam łokciem o krawędź nagrobka, gotowa obserwować to, czego chciałyby choć raz doświadczyć każda dziewczyna, to znaczy prawdziwą walkę dwóch wampirów.

- Nie tak szybko, Josh - odparłam jednak ze swojego miejsca.
- Poćwiartuj go na kawałki i spal je do szczytu, Edwarcie!

- Słucham? Czemu miałbym to robić? Czemu miałbym się porywać na taki czyn? - zapytał, obrzucając mnie przenikliwym spojrzeniem. - Nie! Nie dam się w to wciągnąć, Belle! Już teraz histerycznie wrzeszczę. Doświadczam tak bezgranicznego strachu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czułem.

Trząś się jak galareta. Doszłam do wniosku, że spotyka to wszystkie wegetariańskie wampiry, jeśli przez jakiś czas nie pożą konia z kopytami.

- Edwarcie, nie mamy czasu na skompletowanie pełnej dokumentacji technicznej. Spotkaliśmy drugiego wampira, a nie dałabym głowy, czy on zna książkę Petera Singera *Etyka tego, czym się żywimy*.

- Drugiego wampira? - Obejrzał się przez ramię. - To gdzie jest ten pierwszy? - Znowu zadygotał, najprawdopodobniej z głodu. Po raz kolejny przeszył mnie ostrym spojrzeniem. - Nie! Przestań! Wcale nie trzęsę się z głodu! To nie ma najmniejszego sensu.

- Daj spokój, Edwarcie - odparłam łagodnie. - On jest wampirem i ty jesteś wampirem. Bierz się do roboty!

- Przestań, Belle! To poważna sprawa. Nie pora na tego typu zabawy.

- Jakie zabawy?



- Takie, w jakich się lubujesz. Jak wtedy, gdy udawaliśmy, że dam radę podnieść samochód Toma Newta, albo wtedy, gdy wydawało nam się, że zdołam rozpędzić wóz do prędkości dwustu kilometrów na godzinę. Czy też wtedy, gdy włożyłem plastikową nakładkę z wampirzymi kłami i powtarzałem, jak bardzo pragnę wypić całą twoją krew od chwili, gdy cię tylko ujrzałem. - Zamilkł nagle. - Rety. Niektóre z tych rzeczy zaczynają się teraz urzeczywistniać.

Obejrzałam się na Joshuę i dałam mu znak, że potrzebujemy trochę czasu, żeby sobie parę rzeczy wyjaśnić.

- Wiecie co? - zagadnął. - Mimo że jestem prawdziwym wampirem, czyli kimś z natury małomównym i porywczym, dam wam trochę czasu. Nie zwracajcie na mnie uwagi, stanę sobie z boczku, po cichu kipiąc z wściekłości i miotając złowieszcze spojrzenia.

- Więc przez cały ten czas myślałaś, że jestem wampirem? - szepnął z furią w głosie Edwart, odciągając mnie trochę bardziej w lewo.

- Jasne - odparłam. - No, wiesz... lew cofający się przed owieczką...

- Słucham?

- Przepraszam. Myślałam, że łatwiej mi będzie to wyjaśnić w terminologii zwierzęcej.

- Mam rozumieć, że uznałaś mnie za... owieczkę?

- Nie, za lwa. A może raczej... no, wiesz... za rekina, dla którego jestem foką.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- W porządku. - Podjęłam jeszcze jedną próbę. - Założmy, że jesteś żyrafą, a ja listkiem akacji.

- Chcesz ze mną zerwać? - zapytał cicho.

- Oczywiście, że nie - odparłam czule. - Chyba że nie jesteś wampirem.

- Nie jestem.

- Ale... sprawiasz wrażenie doskonale panującego nad sobą



świra, i to dokładnie w wampirzy sposób.

- Jednak to ty mną kierujesz! I jeśli już rozmawiamy otwarcie, jesteś moją pierwszą dziewczyną, bo zanim cię spotkałem, miałem poważne wątpliwości, czy starczy mi języka w gębie, żeby w ogóle się odezwać do dziewczyny.

Poczułam, jak cała moja hierarchia potworów, z Edwar - to - wampirami na czołowych miejscach, dramatycznie się kurczy.

- Nie pamiętasz, jak rozmawialiśmy o różnych typach krwi, i w kółko powtarzałeś, że każde z nas odznacza się wyjątkowymi zaletami, które pozwalają nas rozróżniać niczym odmienne gatunki wina, po czym wygłosiłeś mniej więcej piętnastominutowy monolog na temat homogenizacji krwi, a następnie przeszedłeś do wykutych na pamięć zasad dotyczących poszczególnych etapów picia krwi? Przytoczyłeś wtedy regułę pięciu „S”: ssać, siorbać, szumować... szumować jeszcze raz... i na koniec...

- Smażyć.

- O, właśnie, smażyć.

- To wszystko?

- Chyba tak... Spisałam sobie wszystkie te zasady, ale zostawiłam karteczkę w domu. Więc dlaczego teraz twierdzisz, że nie jesteś wampirem? - zapytałam, celowo unikając nacisku na ostatnie słowa w zdaniu, żeby moje pytanie nie zabrzmiało tak, jakby zadawał je prokurator.

- Belle... strasznie mi przykro, ale nie jestem wampirem. Jestem tylko przeciętnym pospolitym krwiożercą, ponieważ lubię średnio wysmażone hamburgery.

- W porządku. A więc wszystko jasne? - zapytał Josh, pstryknięciem dorzucając kolejnego wysuszonego mola na czubek sterty.

Jakie to wygodne, pomyślałam, gdy ma się specjalne miejsce na odpadki z przekąsek, jak gdyby gospodarz przyjęcia zostawił na stole specjalną miseczkę na wypluwanie panczerzyków krewetek.



- Chyba tak - odparłam. - Bierz go, Edwart!

- Nic z tego, Belle. Nie zdołam powstrzymać potwora! Chyba już nigdy nie dorosnę do poziomu twoich nienormalnych i perwersyjnych fantazji!

To mnie zabolalo. Mnóstwo dorastających dziewcząt pragnęło, żeby ich chłopcy okazali się wampirami. Durkheim musiałby pewnie przewrócić do góry nogami swoje zasady życia społecznego. Z grubsza się zgadzałam, że ten problem pochodził gdzieś spoza mojego umysłu.

- Wynoszę się stąd, do jasnej cholery! - wycedził Edwart, zawracając w stronę bramy cmentarza. - Jeśli mnie kochasz, chodź ze mną!

- Ależ, Edwarcie!... - wykrzyknęłam za nim. - Musimy pokonać tego wampira! Chcesz mnie tu zostawić z nim samą?

- A nie o to ci chodzi?

To przeważało szale. Prawdziwy wampir już dawno piłby moją krew, zamiast odpowiadać w ten sposób. Odprowadziłam wzrokiem Edwarta znikającego we mgle, tym razem wcale nie w magiczny sposób, ale w brutalny i przyziemny, oznaczający jedynie tyle, że zwyczajnie potknął się o któryś nagrobek. Oboje z Joshem obserwowaliśmy uważnie, jak wyłonił się na powrót z tej mgły, przeskoczył przez przeszkodę i pobiegł truchtem do bramy. Kiedy przewrócił się po raz drugi, wrzasnął donośnie, obejrzał się na nas przez ramię, po czym z jeszcze większym samozaparciem poderwał się na swoje wątłe nogi.

My zaś spoglądaliśmy za nim w coraz bardziej napiętym milczeniu. Zdjęłam z ramion mały chlebak Edwarta i rozpięłam suwak. Nie robiłam tego z przyjemnością na oczach obcego, ale musiałam się jakoś rozładować. Chwilę później zaczęłam palić poszczególne rzeczy jedna po drugiej: sprawozdanie z ćwiczeń biologicznych, mojego wypchanego Drakulę, kilka sosnowych polan, które zdołałam urąbać w trakcie naszej wyprawy terenowej, kosmyk włosów wycyganiony od tej kelnerki z Bucca de Peppo. I od razu poczułam się lepiej.



- No cóż - mruknęłam, rozmarzona. - Czy teraz możemy zacząć sobie opowiadać historyjki z dreszczykiem?

- Nie jestem pewien, czy w pełni zdajesz sobie sprawę ze swojej sytuacji, Belle. Musisz zrozumieć, że jestem wygłodzonym, pozbawionym skrupułów wampirem, ty zaś bezbronną, pełną świeżej krwi śmiertelnicą. Mimo to zgodzę się uraczyć cię jedną opowieścią. Nazywam ją *Historią o pradawnym medalionie* - wyjaśnił Josh roztrzęsionym, upiornym głosem.

Oczywiście znałam tę historię. Zaczęłam nucić pod nosem, żeby nie zasnąć.

- O co chodzi? - zapytał Josh. - Nie ciekawi cię to? To naprawdę przerażająca opowieść.

- Tak, wiem. Widziałam już jej sfilmowaną wersję w odcinku serialu *Czy boisz się ciemności?*

Zmarszczył brwi, patrząc na mnie.

- Jest bardzo smutna - dodał. - Szkoda, że znasz tak dużo opowieści o duchach. Możesz mi powiedzieć, co śmiertelne dziewczęta uważają za najskuteczniejszą metodę obrony przy spotkaniu z wampirem? - zapytał, podchodząc bliżej.

Ziewnęłam szeroko.

- Tak, mam wrażenie, że ten odcinek także widziałam.

Pochylił się ku mnie.

- Uciekaj. Bo przecież nie ma innego sposobu, prawda? - mruknął, kucając i przybierając pozycję płodową.

Nagle ogarnął mnie strach, gdy pomyślałam, co będzie, gdy wyprostuje się na pełną wysokość. To wszystko było nie tak, wbrew regułom! Miałam zostać ugryziona przez Edwarta i stać się wampirem! Nie byłam przygotowana na to, że ugryzie mnie jakiś nieznajomy wampir, przez co będę musiała umrzeć! Wszyscy świetnie wiedzą, że istnieje doskonale określona, choć niezbyt wyraźna linia między życiem - wiecznym - w - postaci - wampira a śmiercią - w - postaci - człowieka.

- Mam nadzieję, że podoba ci się umieranie - rzekł Josh



łagodnym tonem znamionującym pewność siebie, mniej więcej takim, jakim się przemawia do masy puree ziemniaczanego.

Kiedy zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku, kątem oka dostrzegłam, jak Edwart, poobijany i posiniaczony po przejściu między sąsiednimi nagrobkami, wybiega przez bramę poza obszar cmentarza, podczas gdy Joshua szykuje się do ukąszenia.

9. ZAPROSZENIE

Mimo że byłam sparaliżowana strachem, zdołałam jednak wydobyć z pamięci zasady walki, jakich się nauczyłam na kursach Cardio Kicks: 1) Jesteś dziewczyną! 2) Pogódź się z tym! 3) No, dalej, panie, powtarzamy od początku!

Żadna z tych reguł nie sprawdzała się w życiu. Zęby Joshua były już dziesięć centymetrów od mojego gardła i pozostawało jedynie kwestią sekund, kiedy je zatopi w moim ciele. Odległość ta zmniejszyła się do pięciu centymetrów. Potem do dwóch. Do jednego... do ćwierci... do jednej ósmej... jednej szesnastej... Kiedy nagle przypomniałam sobie o paradoksie Zenona. Dopóki Josh zbliżał zęby do mego gardła w odstępach każdorazowo krótszym o połowę, nigdy nie mógł osiągnąć celu.

Tyle że on nie zbliżał się w interwałach każdorazowo krótszych o połowę, przysuwał się ciągłym płynnym ruchem. Porzuciwszy logikę, odwołałam się do swych zdolności nabytych na lekcjach krav maga, złapałam krawędź ławeczki stojącej na lewo ode mnie i cisnęłam nią w niego. Błyskawicznie się skulił. Jasne! Przecież wszystkie klasyczne szklane cementarne ławki w Oregonie zostały ostatnio zastąpione ławkami ze szkła bezpiecznego. Rozmyślając gorączkowo, przykucnęłam, po czym wyskoczyłam wysoko w powietrze, próbując wystraszyć Joshua moim bojowym wyszkoleniem. Ale on się nie cofnął. Co więcej, przybrał Pozycję Wojownika Numer Jeden. W ten sposób

wykradł mi mój pomysł! Mój własny pomysł!

No cóż, pomyślałam, zawsze robiłam dobry użytek z nunczako, które mam przy sobie. Wyciągnęłam je z kieszeni i zaczęłam nim wywijać młynka nad głową. Aż przyszło mi do głowy, że impet jego wirowania może mnie unieść w powietrze. Lecz zanim zdołałam rozważyć, dokąd chciałabym lecieć, Josh wymierzył mi pierwszy, silny cios w brzuch.

Poleciałam do tyłu na najbliższy nagrobek. Dzięki Bogu, że nie jesteśmy w szkole baletowej pełnej luster na każdej ścianie! - pomyślałam z ulgą. I oto nagle doleciał mnie najśłodszy dźwięk, jaki mogłam usłyszeć w tej sytuacji: głębokie, gardłowe „miau”. W jednej chwili pojęłam, że jestem już martwa. Otóż ten odgłos - chyba jedyny odgłos, jaki chciałam usłyszeć - wzywał mnie do jedynego nieba, do jakiego zawsze chciałam pójść: do kociego nieba.

Otworzyłam oczy w samą porę, żeby dostrzec czarnego kota ocierającego się o moje nogi. Nie miało to większego znaczenia, skoro jeszcze żyłam. W moich oczach przybyła postać stała się aniołem, a sposób, w jaki wymawiała syczące spółgłoski, bardzo przypominał mi mamrotanie Edwarta.

To wtedy właśnie podjęłam decyzję, żeby się przeciwstawić. Podskoczyłam, zamierzając kopnąć Josha w tyłek, ale wyszło mi z tego ledwie pieścizłowe muśnięcie, jakbym chciała go tylko podrażnić czubkiem buta. Jego pośladki zadygotały, a ja poleciałam do tyłu, w głąb rozkopanego grobu, z którego wyszedł.

Zdumiona spoglądałam w rozgwieżdżone niebo, kiedy Josh przesłonił mi widok księżyca. Skoczył błyskawicznie do przodu, jakby chciał zaatakować, ale zaraz się zatrzymał. Czyżby błędnie odczytał znaczenie mojego muśnięcia czubkiem buta? Wyprostował się przy samej krawędzi mogiły i popatrzył na mnie z góry. Po raz pierwszy zwróciłam uwagę, jak jest wysoki. Z tej pozycji, w której leżałam na wznak, wydawał się naprawdę bardzo wysoki. A ja lubię wysokich chłopaków. Dwie rzeczy, na

które zwracam u nich uwagę w pierwszej kolejności, to właśnie wzrost i przynależność do wampirów. Do tej pory w większości zakochiwałam się ze względu na jedną albo drugą cechę. Trafiałam nawet na takiego, który był wampirem i na dodatek odznaczał się potężną sylwetką, okazał się jednak gejem.

- Giń! - warknął Josh.

- Pomocy! - krzyknęłam.

- Cicho! - syknęli ludzie zgromadzeni przy sąsiednim grobie.

- Przepraszamy - powiedzieliśmy równocześnie. Pomógł mi wyleźć z wykopu i zaczęliśmy dalej walczyć w ciszy.

Zmagaliśmy się przez pewien czas, okresowo zapominając, które z nas jest człowiekiem, a które wampirem. W pewnym momencie on miał na sobie moją sukienkę, a ja jego pelerynę. Miałam go już ugryźć, gdy niespodziewanie dostrzegłam coś nienaturalnego pod tymi jego czerwonymi oczyma ocienionymi kapturem peleryny, coś jakby biały proszek mający przydawać jego cerze błości.

- Czy to nie ty czytasz codziennie podczas lunchu *Romea i Julię?* - zapytałam z zaskoczenia.

- Nie, Belle. Jezu, Louise! Ja siadam przy stole za tobą i twoimi przyjaciółmi, w gronie moich braci i sióstr.

Przypomniałam sobie rozstawienie stołów w stołówce, poczynając od stolika Edwarta, przez Świrów, Sławy (czyli mój), Artystów, aż do Wampirów. Musiał mieć miejsce przy tym ostatnim.

Widząc, jak siadam na ziemi i sięgam po album naszego rocznika, żeby ostatecznie się w tym wszystkim rozeznać, wtrącił szybko:

- Pamiętasz swój pierwszy dzień w stołówce, kiedy oboje równocześnie sięgnęliśmy po ten sam talerzyk z twaróżkiem? A później oboje usiłowaliśmy się go pozbyć, udając, że polujemy na świeże frytki, i mając nadzieję, że druga osoba odejdzie, zostawiając ten twaróżek na ladzie? Albo drugiego dnia, kiedy odciągnąłem cię w ostatnim momencie, bo zostałybyś potrącona

przez samochód na parkingu?

Miałam wrażenie, że rozmawiam z kimś z przeszłości, z odległej przeszłości, na przykład z gimnazjum. To było takie urocze! Uzmysłowiłam sobie nagle, że ma tendencję do wypowiedania długich zdań, co stwarza mi okazję do ucieczki. Prawdę mówiąc, mogłam dać nogę w dowolnym momencie, jednak coś mnie trzymało na miejscu nawet wtedy, gdy Josh się odwrócił, żeby wykrzyknąć w ciemność:

- Vicky! Jak ci się to nagrało?

- Mam wszystko na taśmie! - odpowiedziała drobnej budowy wampirzyca, wybiegając zza sąsiedniego nagrobka.

W rękę trzymała kamerę wideo. Z daleka można było ocenić jej wredny charakter po puszystych kręconych rudych włosach, krzywym uśmiešku i narzuconym na ramiona dziwacznym poncho ze skołtunionego sztucznego futerka.

- Miałem nadzieję, że coś takiego doda dramatyzmu naszemu amatorskiemu filmowi - rzekł Josh, szerokim gestem wskazując cmentarz. - Co powiesz na to, żeby zostać gwiazdą filmową? - zapytał złowieszczo.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Vicky podbiegła, żeby poprawić mi fryzurę i wetknąć w usta samoprzylepne plastikowe nasadki w kształcie wampirzych kłów.

- Co to za film? - zapytałam podejrzliwie. Nie podpisywałam żadnej nowej umowy, a moje filmy z walk bokserskich były zastrzeżone w ramach przepisów prawa autorskiego.

- Zatyłłowaliśmy go *Dzień z życia Josha i Vicky!* - odparła dziewczyna. - Zaczęliśmy kręcić dziś rano, jak tylko wstaliśmy, i filmowaliśmy przez cały dzień. Nagraliśmy mnóstwo zabawnych scen, zwłaszcza wtedy, gdy Josh odrabiał prace domowe.

Sama kiedyś nakręciłam amatorski film, krótko przed wyjazdem z Phoenix. Przebrałam się i tańczyłam przed kamerą w stroju baletowym, który często wkładałam, gdy byłam jeszcze mała. Mojej mamie strasznie się to podobało.

- Mam pomysł - odezwała się Vicky. - Belle, nie

zechciałybyś coś powiedzieć do kamery? Na przykład: „Miło mi was poznać, Joshu i Vicky! Dzięki, że mnie nie pozarliście!”.

Uniosła kamerę do oczu. Przez chwilę głupio przenosiłam spojrzenie z jednego na drugie. Potem z trudem przełknęłam ślinę i odchrząknęłam. Odnosiłam wrażenie, że nogi mam jak z waty.

- Wspomnienia są bardzo ważne, nie sądzisz? - zagadnęła Vicky.

Pospiesznie wypowiedziałam zaproponowany tekst, usiłując zamaskować swoje braki w wymowie, gdyż przy połączeniach typu „mnie nie” zawsze plątał mi się język i nigdy nie potrafiłam rozsądzić, w jakiej kolejności należy wymawiać podobnie brzmiące sylaby.

- A teraz pocałunek! - szepnęła Vicky, ciągle mnie filmując.

Josh zamknął oczy i wydał wargi, pochyliwszy się lekko w moją stronę. Jeszcze kilka minut temu chciał mnie zabić, mając ku temu wszelkie powody, gdyż wcześniej to ja próbowałam wybić mu staw barkowy. A ponieważ zza jego wąskich, spękanych warg wystawały ostre wampirze kły, miałam się na bacności. Nie wiedziałam jednak, czy dobrze odgrywam swoją rolę.

I nagle przypomniałam sobie, że przecież jestem doskonałą aktorką. Zamknęłam oczy i także pochyliłam się do przodu. Pocałowaliśmy się. Niczego nie poczułam, bo w zasadzie był to element zwykłej codziennej pracy. Wychodziłam z założenia, że pocałunki są najmniej produktywnym sposobem łączenia się w pary, a do tego mało higienicznym. Pewnie dlatego byłam tak bardzo podatna na znieczulicę.

- Dobra, świetnie! - powiedziała Vicky, wyłączając kamerę. - Zobaczmy się jutro rano na planie *Następnego dnia z życia Joshua i Vicky!* - zawołała, znikając już w pobliskiej kępie zarośli.

Bez dwóch zdań musi być wredna, zdecydowałam w myślach.

Moje wargi lekko krwawiły, toteż wytarłam je pospiesznie.

Jak to wytłumaczę tacie? Postanowiłam opowiedzieć, że skubałam je paznokciami, żeby były czerwiejsze, jak robiłam to kiedyś, nim osiągnęłam wiek stosowny do używania szminki. Josh spoglądał na mnie wygłodniałym wzrokiem.

- Kurde, ale tu często pada! - powiedziałam, żeby wypełnić ciszę. - Strasznie mi się to podoba. Więc... jak... mamy dalej walczyć czy co?

Josh pochylił się szybko i błyskawicznie przywarł ustami do moich warg. Opierałam się trochę, ale tylko tyle, by wywołać wrażenie, że jestem z tego rodzaju dziewczyn, które nie lubią wampirów. Zaraz jednak zrobił to z języczkiem. I to było niesamowite! Wiele słyszałam wcześniej na ten temat, ale w żadnej mierze nie byłam przygotowana na tak dziwne odczucia. Nawet gdy już wyciągnął nos spod mojej pachy, wciąż jeszcze dygotałam od dreszczu podniecenia.

- Czy źle to zabrzmiało, jeśli zapytam, jaki jest teraz nasz status? - odezwał się szybko. Nawet za bardzo mnie to nie obchodziło. Chciałam po prostu rozumieć, rozumiecie?

- Ani trochę. Jesteśmy teraz parą.

Aha. Nie miałam pojęcia, jak ja to przedstawię na Facebooku. Przede wszystkim musiałam jakoś zastąpić zdanie: „Sprawa jest skomplikowana, gdy ma się do czynienia z wampirem”. I nagle sobie uprzytomniłam, że mam już prawie gotowy nowy scenariusz.

- Nie zechciałabyś pójść ze mną dziś wieczorem na bal promocyjny wampirów? - zapytał Josh.

Od razu przypomniałam sobie mój ostatni bal promocyjny: idiotyczne upozowane zdjęcia przed balem, ohydne różowe sukienki, tandetny wystrój sali, strzały z broni palnej, krzyżujące się meldunki policyjne, reportaże telewizyjne, a do tego żalona kapelę.

- Oczywiście! - wykrzyknęłam z entuzjazmem.

- To dobrze, bo już wykupiłem dla ciebie wejściówkę.

- Zaraz! - dodałam, przypomniawszy sobie o chłopaku, który

związał stąd zaledwie kilka minut wcześniej. - Być może jestem już z kimś umówiona...

- Z innym wampirem?

- Nie. Uważałam go za wampira, ale chyba się pomyliłam.

Wspomnienie Edwarta wywołało we mnie złość, a jednocześnie odrobinę zazdrości. Powinnam się wcześniej zorientować, że nie jest wampirem. W stosunku do niego zawiodły trzy z najważniejszych kryteriów przynależności do wampirów: nie mówił po staroangielsku, nie był nadęty i pompatyczny oraz nie miał skrzęcej się skóry.

- Cóż, to nie ma większego znaczenia - odparł Josh. - My, wampiry, mamy odrębny bal promocyjny zimą, a nie na wiosnę. Niestety, tak się źle składa, że w okresie najmniej sprzyjającym zdjęciom w plenerze. - Skrzywił się z niesmakiem. - Odrębny, ale nie mniej ważny, do cholery.

Z uznaniem pokiwałam głową. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że bycie wampirem aż tak bardzo odróżnia od reszty ludzi, ale przecież byłam zwolenniczką teorii doktora Seussa, który twierdził, że każdy nosi swoją gwiazdę na własnym brzuchu.

Usiedliśmy, żeby poprzytulać się na skraju rodzinnego grobowca.

- Josh - zagadnęłam. - Jak stałeś się wampirem?

- Walczyłem z Drakulą. Niewiele brakowało, żebym go zabił, gdyby mi nie powiedział, że jestem jego jedynym przyjacielem, od czego zrobiło mi się niedobrze. Przez to trzymał mnie w lochach przez pięć lat. Ugryzł mnie w chwili, kiedy się odwróciłem, żeby wrócić do celi. Podstępna szuja! Odznaczał się lojalnością chyba tylko wobec tych, których znał od kilku stuleci.

- Naprawdę znałeś Drakulę?! - zapytałam z niedowierzaniem. - To niesamowite!

Wiele razy wyobrażałam sobie, co bym zrobiła, gdybym spotkała Drakulę. Pewnie bym powiedziała:

- Nazywam się Belle Goose i jestem dziewczyną wampirów.



A on skłoniłby się wtedy tak nisko, że ucałowałby moje stopy.

- No cóż, Belle - odezwał się Josh. - Jestem całkiem niezłym chłopakiem.

- A jaki był Drakula?

- Zębiasty. I nietoperzowaty.

Kurde. Chodzenie z Joshem otworzyłoby przede mną sporo nowych możliwości. Niewykluczone, że znał także Potwora z Bagien.

- Zabiorę cię do domu przed wyjściem na bal - rzekł, podnosząc się z ziemi i otrzepując pelerynę. - Pewnie będziesz chciała się umalować czy coś w tym rodzaju. Wcześniej wymyśl dokładnie całą twarz.

Zaczerwieniłam się. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że mój kuszący zapach krwi wydobywa się także z nozdrzy.

Trzymając się za ręce, ruszyliśmy do wyjścia z cmentarza. Josh miał zimne palce, ale nie były lepkie od zimnego potu, do czego już przywykłam. Edwart, pomyślałam tęsknie. Edwart. Edwart! Skąd ja znałam to imię?

- Zaczekaj tu, ślicznotko - rzekł Josh, gdy tylko wyszliśmy za bramę. - Zaraz podjadę po ciebie samochodem.

Kilka minut później zatrzymał wóz na wprost mnie przy krawężniku.

- Wskakuj - rzucił ze złością.

W porządku, pomyślałam. To nie było całkiem grzeczne. Nie odezwałam się jednak słowem ani wtedy, ani gdy już wskoczyłam do auta, a on zawiązał mi opaskę na oczach i skrępował ręce za plecami.

- To dla twojego dobra, niezdaro.

Trudno mi się było z tym nie zgodzić, zwłaszcza że przewróciłam się tuż przed samochodem.

Zapiął mi pas. Kilka minut później przeżyłam zaskoczenie, że wóz porusza się tak łagodnie i powoli pod kontrolą Josha. Uprzytomniłam sobie jednak, że Josh musiał być obeznany z



samochodami od czasu ich wynalezienia.

Zatrzymaliśmy się.

- Plan jest taki. Idziesz na górę, bierzesz prysznic i robisz wszystko, żeby się uwolnić od ludzkiego zapachu - rzekł. Wciąż miałam zawiązane oczy, mogłam więc tylko zakładać, że jesteśmy pod moim domem bądź też w jakimkolwiek innym miejscu zaopatrzonym w schody i prysznic. - Ja tymczasem utnę sobie pogawędkę z twoim tatą.

Zdjął mi opaskę z oczu. Na miękkich nogach ruszyłam do drzwi, ale zatrzymał mnie w pół kroku, rozłożył na ziemi swoją pelerynę i pokierował tak, żebym nie zabłociła butów w drodze do brzegu chodnika. Podziękowałam mu, ostrożnie stawiając stopę na czerwonej satynowej podszewce. Josh błyskawicznie zebrał wszystkie cztery rogi peleryny, zapakował mnie w nią i poniósł do drzwi.

- Co ty byś beze mnie zrobiła, Belle? - zapytał, wkładając mi do ucha urządzenie naprowadzające.

Jego zachowanie wydawało mi się niezwykle, ale nigdy wcześniej nie umawiałam się z wampirem. Poza tym kto mógł winić Josha za to, że stał się zaborczy? Byłam niezwykle dziewczyną, gotową na to, żeby pewnego dnia zdradzić przed kamerami telewizyjnymi: „Masz rację, Diane, moje dzieciństwo należało do trudnych”.

Wzruszywszy ramionami, sięgnęłam do torebki po klucze, lecz okazało się, że ich nie potrzebuję, ponieważ Josh szybko wytopił dziurę w drzwiach i wepchnął mnie przez nią do środka.

- Ruszaj się, ruszaj! - porykiwał przy tym. - Musimy zdążyć na bal promocyjny wampirów!

10. BAL WAMPIRÓW

Pędem pognałam schodami na górę, zerwałam z siebie bluzkę i cisnęłam ją na podłogę.

- Mogę zaproponować, żebyś włożyła coś prostego? - rozległ się obojętny głos daleki od sugerowania czegokolwiek.

Popatrzyłam w stronę okna i aż mnie zatkało. Josh! Błyskawicznie zasłoniłam rękoma podkoszulek z wyraźnie rysującym się pod nim stanikiem. Ale było za późno, Josh i tak widział mnie w bieliźnie. Zatem miał już pewność, że dbam o wszelkie szczegóły damskiego stroju.

- Nie chciałbym roztaczać kontroli nad każdym aspektem twojego życia - dodał, biorąc mnie za rękę i zamykając nią okno. - Wierzę jednak, że byłoby nierozsądne z twojej strony ubieranie się w coś, co tylko niepotrzebnie przykuje wzrok. Tematem balu jest „Wyszukana Wenecka Maskarada”, poza tym znajdziesz się w sali pełnej wampirów. Dlatego najlepszy byłby materiał pozwalający ci się stopić ze ścianami albo podłogą.

- Jak się tu dostałeś?

- Przez okno. W końcu jestem wampirem!

- Ale przecież moje okno ma zaledwie pół metra wysokości.

- Nic prostszego, wiele razy robiłem podobną sztuczkę. Wystarczy się zmniejszyć za pomocą wampirzych promieni, a później w odwrotny sposób rozdać do normalnych rozmiarów.

Miałam już na końcu języka następne pytanie, gdy przerwało



nam głośne łomotanie pięścią w drzwi.

- Gdzie on jest?! - wykrzyknął Jim. - Dobrze czuję, że jest tam wampir?

Josh dopadł mnie jednym susem i zakrył mi dłonią usta.

- Nie - szepnął basowym, typowo męskim głosem. - Jesteś tylko ty, ludzka córka, całkiem sama.

Odsunęłam jego rękę.

- Mylisz się, tato - odparłam. - Nie widzę tu żadnego wampira. Ale porozglądałam się jeszcze! I obiecuję, że będę się rozglądać dokładnie!

Po dłuższej chwili doleciał nas odgłos jego ciężkich kroków na schodach.

Odwróciłam się do Josha.

- Aż nie chce mi się wierzyć, powiedziałaś mu, że jesteś wampirem! Jim nienawidzi wampirów!

- Postawiłem cię w kłopotliwej sytuacji? - zapytał z napięciem w głosie. Znowu złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. - O co znowu chodzi? - rzekł z naciskiem, po czym wykonał upokarzający taniec pingwina.

- Nie. Ani trochę nie czuję się zakłopotana. Musimy tylko na zawsze zachować twój wampiryzm w tajemnicy przed moimi przyjaciółmi i rodziną, jasne?

Przestał tańczyć.

- O rety! Na zawsze?

Westchnęłam z irytacją. Edwart może i był ciemny, ale nie zadawał nawet w połowie tylu pytań.

- Tak, na zawsze. Oczywiście po tym, jak mnie już ugryziesz i uczynisz swą wampirzłą partnerką.

Cofnął się powoli.

- Zaczekaj tutaj, Belle - rzekł, otwierając okno, do którego stał tyłem. - Muszę coś jeszcze zrobić... gdzie indziej.

Kiedy usłyszałam, jak zapala silnik swego auta i odjeżdża z chrzęstem żwiru pod kołami, skoncentrowałam się na zawartości szafy. Co mam włożyć na tę maskaradę? Wyrzuciłam wszystkie

ciuchy na łóżko. Znalazłam osłonę prawej nogi, potem lewej, osłonę karku i poszczególnych palców. W końcu zdecydowałam, że włożę całą zbroję.

Jakiś samochód zatrzymał się z piskiem opon przed naszym domem. Po chwili doleciały mnie stłumione głosy z salonu. Wrócił Josh! Podkrađłam się na palcach do drzwi i nastawiłam ucha. Doleciał mnie brzęk tłuczonego szkła, który oznaczał, że Jim rozbił drzwiczki ściennej szafki i sięgnął po broń. Josh musiał go jeszcze przekonywać, że nie jest wampirem, ponieważ znów dotarł do mnie basowy, ledwie słyszalny odgłos wymiany zdań.

- Zapewniam pana, panie Goose, że jestem wychowany tradycyjnie i postępuję zgodnie z zasadami - rzekł. - Oto umowa, którą spisał dla mnie mędrzec z sąsiedniego miasta. Mówi, że w zamian za jedną randkę z pańską córką dostarczę panu cztery gaśki nioski, paczkę klepek na baryłkę oraz możliwość korzystania z mojej największej kosy przez okres trzech tygodni.

- To mnie zadowala - odparł Jim. - Jestem nadzwyczaj pobłażliwym ojcem, któremu nigdy się nie śniło, żeby zażądać tego rodzaju umowy, ale jestem też namiętnym kolekcjonerem klepek do baryłek. Zechcesz uroczyście wychylić ze mną kwartę?

Doleciał mnie charakterystyczny bulgot ginu rozlewanego do szklanek.

- Dla mnie najwyżej dwie kwarty, panie Goose - odezwał się Josh. - Prowadzę.

- A cóż miało znaczyć to, że już jesteś z powrotem, mój chłopcze?

Mimowolnie syknęłam i mocno zacisnęłam powieki. *Tylko nie wymawiaj słowa: wampir!*

- Byłem za oknem, proszę pana. Jestem artystą okiennego graffiti.

- Ach, rozumiem.

Nagły trzask szklanki rozpryskującej się o ścianę wstrząsnął całym domem. Josh wbiegł jak sprinter po schodach, wpadł do

mojego pokoju i gwałtownie zatrzasnął drzwi. Jim z łoskotem pognął za nim, z każdym strzałem z karabinu coraz bardziej rozwścieczony, gdyż bezcenne zabytkowe kule grzęzły w naszej siedemnastowiecznej fryzyjskiej boazerii.

- Co ja takiego zrobiłem? - jęknął Josh, barykadując drzwi moją komódką.

- Jim jest zmywaczem okien. A jeśli wierzyć napisowi na jego ulubionym T - shircie, jest także „inspektorem kobiecych ciał”. Pewnie chodzi o jakąś specjalność ginekologiczną, ale nigdy nie zdobyłam się na odwagę, żeby go o to zapytać. W każdym razie nienawidzi artystów okiennego graffiti - wyjaśniłam. - Prawdę powiedziawszy, jedynymi ludźmi, do których nie czuje nienawiści, są potomkowie wilkołaków. Zapamiętaj to sobie na przyszłość.

- Co ty masz na sobie? - zdziwił się Josh, spoglądając na mnie z podziwem.

- Podoba ci się? To kompletna zbroja.

- Za kogo chcesz uchodzić? Za jakąś odrażającą mumię?

- Owszem - odparłam z niepokojem, gdyż czułam się nieco urażona tym, że nie dostrzegł piękna mojej zbroi. Chyba jednak nie byliśmy idealną parą. - A ty za kogo się przebrałeś?

Miał na sobie elegancki czarny smoking z popielatoszarą kamizelką.

- Jestem „Ludzkim Facetem” - odparł i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając błyszczące sztuczne ludzkie zęby.

Wstrząsnął mną dreszcz. *Dlaczego chłopcy mają tendencje do wybierania najmniej atrakcyjnego stroju, jaki można włożyć na bal kostiumowy?*

W tej samej chwili Jim kolejnym strzałem wywalił drzwi.

- Hej! Ty! - wrzasnął, mierząc w Josha. Pociągnął za spust.

BACH!

Josh skoczył w lewo, w nadprzyrodzony sposób unikając kuli.

BACH!



Skoczył w prawo, robiąc całkiem ludzki unik przed drugą kulą.

Tata zaczął przeładowywać karabin. Nasypał do obu luf prochu, ubił go, używając czegoś w rodzaju miotełki na długim pręcie, po czym wrzucił dwie kule muskietowe. Pewnie gorzko przy tym żałował, że kupił broń z czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, mimo że dostał ją za niewiarygodną cenę. Jej przeładowanie zajmowało około półtorej minuty, czyli dziewięćdziesięciu sekund. Z pozoru nie wydaje się to nazbyt długo, ale spróbujcie wytrzymać w ciszy choćby pięć sekund. W rzeczywistości to trwa i trwa.

Jedna...

Druga...

Trzecia...

Czwarta...

Piața...

Już wiecie, o czym mówię?

- Wyluzuj, tato - rzuciłam, aby to absurdalne marnotrawstwo papieru nie trwało dłużej. - On jest wilkołakiem.

Jim opuścił karabin.

- Och, strasznie przepraszam - wycedził. Obrzucił szybkim spojrzeniem mój strój i dodał: - Rety, Belle! Wyglądasz jak w pełni dojrzała dama!

Musiałam przyznać, że w kategorii kokonów przepoczwarzonych gąsienic prezentowałam się oszalamiająco. Lucy i Laura pewnie by wymamrotały, że jestem bardziej „na - a - - - awie - e - edzo - o - ona” i „sss - ma - kooo - wi - ta”, ale moim zdaniem słowo „oszalamiająca” pasowało do mnie o wiele lepiej. Weszłam ostatnio w posiadanie tezaursusa. Nie dalibyście wiary, ile tam jest słów! Ilekroć otwierałam tę książkę, byłam jak... ożeż... Jak przyjęcie światowe!

Kiedy już powyciągaliśmy kule ze ścian, zeszliśmy na dół na tradycyjną szopkę pod tytułem „ojciec - poznaje - chłopaka - córki”.

- A zatem... Josh. Jak ci idzie w szkole? - zapytał ostro Jim.

- Dobrze.

- Aha. Uprawiasz w ogóle jakiś sport?

- Nie. Zechce mi pan wybaczyć, że wyjmę z ust sztuczne zęby? Trudno mi mówić, gdy mam je założone. - Wyjął je szybko, obnażając swoje kły ostre jak szpilki. Odniosłam wrażenie, że ze strachu cała krew Jima spłynęła mu do prawej nogi, to znaczy do miejsca maksymalnie oddalonego od groźnych kłów gościa.

- Czy ty... no, wiesz... oglądałeś ostatnio jakiś film?

- Czemu pan o to pyta? - zdziwił się Josh, wprawnym ruchem owijając opaską uciskową nogę Jima, nabrzmiała już od wybornej, wysokokalorycznej krwi.

- No cóż, powinieneś wiedzieć... że to jedno ze standardowych pytań, jakie zadaje się wilkołakom. Bo przecież wilkołaki uwielbiają filmy, prawda? - Mój tata zachichotał z



poczuciem wyższości.

- To zdecydowanie za duże uproszczenie, panie G. Mógłby się pan nie ruszać przez chwilę?

Josh wyjął z kieszeni jednorazową strzykawkę i jął szybko pobierać krew z nogi Jima.

- Nie chodzi o uprzedzenia! Możesz mi wierzyć, że mam wielu dobrych przyjaciół wśród wilkołaków.

- Cóż, szczerze mówiąc, nie jestem wielkim miłośnikiem telewizji. Ale widział pan choć jeden odcinek serialu *Czysta krew*? To film o wampirach. Bardzo zabawny, choć niezbyt realistyczny. Bo czy sztuczna krew mogłaby zadowolić prawdziwe wampiry? Bez jaj! Trzeba czegoś rzeczywistego. Najlepiej z nastoletniej dziewczyny. W porządku, Belle. Jesteś gotowa?

- Tak! - Wstałam, demonstrując im wszelkie zmarszczki powstałe w moim stroju. Zaczęłam się z wdziękiem obracać, ale zaraz stwierdziłam, że nie dam rady się zatrzymać. Czułam się jak zawodniczka łyżwiarskiego konkursu, zarówno co do gracji ruchu na lodzie, jak i chęci zwymiotowania.

Po chwili Josh złapał mnie pod ramię, chcąc zatrzymać.

- Dostyc, Belle. Wystarczy.

Odpowiedziałam mu skromnym uśmiechem, a przy okazji zajrzałam głęboko w te gigantyczne bezduszne wampirze źrenice. Odpowiedział mi lodowatym spojrzeniem.

- Teraz już wiem, dlaczego otrzymałaś na imię Belle - powiedział cicho. - Czy wiesz, że „Belle” po hiszpańsku znaczy „piękna”?

- Nie wątpię, że chodzi ci o...

- Ciii - syknął Josh, uciszając mnie błyskawicznie. - Pozwól, że od tej pory tylko ja będę mówił.

Był taki uroczy.

- Odwiozę pańską głupią córkę przed północą, panie G. - oznajmił. - To może pan sobie zatrzymać. - Rzucił w stronę ojca strzykawkę napełnioną jego krwią. - Mam wrażenie, że

załatwiliśmy wszystko.

- Nie zechciałbyś przyjść w niedzielę na mecz Seahawków? - zapytał Jim. Czuł się osamotniony. Naprawdę nie miał tu zbyt wielu przyjaciół, nie licząc tego gościa na wózku inwalidzkim.

- Mam zapełniony harmonogram, panie G. Mecze futbolu amerykańskiego są zazwyczaj rozgrywane w ciągu dnia, tymczasem... - Urwał wstydliwie i powiódł dłońmi po swojej sylwetce, w napięciu potrząsając przy tym palcami.

- Nie rozumiem. Mój drugi zaprzyjaźniony wilkołak nie może się doczekać następnej transmisji z meczu.

- Nie szkodzi, na razie, tato! - zawołałam.

Josh pociągnął mnie do wyjścia, a od drzwi w kierunku swojej czarnej limuzyny. Zanim jednak wepchnął mnie do środka, obrzucił jeszcze raz uważnym spojrzeniem od stóp do głowy.

- Czy wiesz, Belle, na jaki poziom się wspięłaś?

- Na jaki? - zapytałam z głupia frant, rozmyślając o tym, że najłatwiej byłoby mnie opisać geometrycznie jako rodzaj kuli, czy raczej walca.

- Choćby ten odpowiadający zawartości krwi w twoim ciele.

- Cóż... Sama nie wiem. Po pierwsze, musiałabym zmierzyć średnicę opisanego na mnie cylindra, Josh. - Pospiesznie doszłam do wniosku, że walec będzie najlepszy ze względu na płaską powierzchnię mojej czaszki.

W drodze na bal promocyjny Josh postanowił udzielić mi lekcji nauki jazdy. Oparł stopy na brzegu deski rozdzielczej i zaczął wykrzykiwać: „gaz!” albo „hamulec!”, chociaż ledwie sięgałam do pedałów.

Wyraźnie wcielił się w rolę instruktora jazdy, który nie zostawiał ani trochę miejsca na improwizację. I muszę przyznać, że był w tej roli doskonały, bo nawet przez chwilę nie pozwolił mi na żadną improwizację. Nie mogłam nawet dosięgnąć radia z miejsca, w którym mnie posadził na podłodze. Tymczasem sam zaprogramował w odtwarzaczu zestaw swoich ulubionych

wampirzych piosenek. Żadna z nich nie wyszła spod ręki Schuberta.

Motywym balu była „Wyszukana Wenecka Maskarada”, należało zatem przypuszczać, że będzie mnóstwo dekoracji, tymczasem natknęliśmy się jedynie na ścieżkę oznakowaną czarnymi chorągiewkami, która zaprowadziła nas pod nadmiernie rozdęty czarny balon. Niemniej powtarzałam sobie w myślach, że powinnam mieć bardziej otwarty umysł. Większość zakładów krawieckich i salonów mody zamykała się przed zachodem słońca, więc gdyby któryś wampir zawędrował do nich w ciągu dnia, wyszedłby na złodzieja, gdyż całe jego ciało połyskiwałoby niczym skradziony klejnot. Cóż za bałagan by wówczas powstał, zwłaszcza pod względem formalno - prawnym?

- Mam nadzieję, że te stroje nie wydają ci się nudne - rzekł Josh przepaszającym tonem, kiedy szliśmy korytarzem gimnazjum w stronę prowizorycznego studia fotograficznego. Otóż ów komitet promocyjny wybrał na ten rok absolutnie niewiarygodny strój, który też nie zrobił większego wrażenia. Wyglądało na to, że nagle wszyscy zapragnęli być wampirami zgodnie z duchem słynnej romantycznej powieści na temat wampirów podbijającej obecnie świat. Warto było pamiętać stroje z kilku ostatnich balów na ten sam temat, kiedy dominowali Pimpsowie i ich przyjaciele z osiedla, dyrektorzy i ich biurowe kochanki, anonimowi bohaterscy żołnierze i ich kochanki służbowe, ogrodnicy i ich węże do podlewania, strażacy i ich węże do gaszenia... Jeśli o mnie chodzi, pojęcie balu maskowego ani nie wykluczało żadnych indywidualnych upodobań, ani też nie definiowało nazbyt wyraźnie podmiotowej roli jego uczestników.

- To zachwycające - odrzekłam, chociaż w głębi serca czułam coraz wyraźniejszą tęsknotę za tym, żeby to Edwart był na miejscu tego oszałamiająco przystojnego wampira, a więc ktoś, kto zawsze będzie się wydawał śmieszniejszy ode mnie.

Zatrzymaliśmy się z Joshem na chwilę przed obiektywem

aparatu oficjalnego fotografa balu. Zdjęcie wyszło wspaniale, pomijając to, że mój oblubieniec wyglądał na nim jak pęk starych ciuchów zawieszonych w powietrzu. Mimo to popołudniowe światło cudownie zagrało na jedwabnym węźle jego luźno zawiązanego krawata.

Jak tylko ruszyliśmy w stronę stołu, na którym stała waza z ponczem, niemal wbrew sobie odniosłam wrażenie, że Josh wstydzi się pokazywać ze mną u swego boku. Pewnie zdecydował wykrój jego ust, kiedy powtarzał mijanym ludziom: „Ona nie jest ze mną”. Sama zresztą nie wiem. Czasami miewam poważne kłopoty ze zrozumieniem mowy ciała chłopaków. Jak powiadają, chłopcy są z Marsa, a dziewczyny z całkowicie normalnej planety.

Kiedy wszystkie wampiry ruszyły do starannie zaaranżowanego tańca, pogrążyłam się głębiej w poczuciu alienacji. Od jak dawna chciały mnie wciągnąć do tych swoich pląsów? Ich zombi - styl prezentował się całkiem niezłe, chociaż odnosiłam wrażenie, że duża część ruchów pozostaje pod wpływem dobrze znanego wideoklipu nieśmiertelnego króla popu: *Black or White*.

Zatrzymałam się i popatrzyłam, jak wampiry tańczą ostatnią zwrotkę piosenki. Na stole stały cztery wazy podpisane: „AB+”, „0 - ”, „AB - ” oraz „Zlewki”.

- Ja poproszę o „AB+” - odezwałam się do Josha, kiedy wrócił z parkietu. - Z czego to jest? Z jabłek i bananów?

- Z krwi, Belle. Przecież dobrze wiesz, że to krew, co nie?

- Tak, oczywiście. Tylko żartowałam.

Z przerażeniem uniosłam szklaneczkę do ust. Absolutnie musiałam się zdobyć na ten krok.

Pieściłam ją jeszcze w dłoniach, gdy Josh przedstawił mi swoich przyjaciół, Leviego i Zeke'a. Z rozdziawionymi gębami zapatrzyli się na moje przebranie.

- Na co się tak gapiacie? - zapytałam speszona. - Ja przynajmniej mam jakiś strój.



- Ojej! - jęknął Levi. - Powiedz to jeszcze raz!
- Co mam powiedzieć jeszcze raz?
- Słyszałeś to, Zeke? Ona mówi tak bardzo po ludzku...
- Cześć - odezwał się Zeke gardłowym, swobodnym tonem. -

Nazywam się „Ludzki Gość”.

W grupie wampirów, które zebrały się wokół nas, rozległy się śmiechy.

- Och, dajcie mi spróbować, dajcie mi spróbować! - rzucił ktoryś z nich. - Cześć. Nazywam się „Ludzki Gość”.

Zaśmiali się głośniej.

- Cześć - wtrącił Levi. - A ja jestem „Ludzką Osobą”.

- Dlaczego ludzie mówią takie rzeczy? - zdziwił się Zeke. - Zawsze można od nich usłyszeć coś w tym stylu!

- Nikt tak nie mówi! - odparłam, ale to wywołało jedynie kolejną falę śmiechu.

- Cześć - powtórzył Josh. - Nazywam się „Ludzki Gość”.

Byli już tacy, co płakali ze śmiechu.

- Josh - szepnęłam z wściekłością. - Nie zamierzasz stanąć w mojej obronie?

- Daj spokój, Belle. Chyba wiesz, jak to zabrzmiało. To przecież nie twoja wina - dodał szybko. - Chodzi o wrodzoną wadę twojego gatunku. Wiem, że nic nie możesz na to poradzić i nigdy nie zdołasz tego skorygować. - Ujął mnie za pokrytą fluidem brodę i pogłaskał po włosach pokrytych lakierem. - Bądź dumna z tego, kim jesteś, Belle. Nie przepraszaaj za to, co nas różni. Za swoje ekscentryczne, ułomne niedociągnięcia.

Nagle ktoś poklepał mnie po ramieniu.

- Belle! - rozległ się znajomy głos.

Obróciłam się na pięcie i ujrzałam Lucy we własnej osobie!

- Lucy! Co ty tu robisz?

Zaśmiała się szaleńczo.

- Belle, musiałam kupić kilkanaście sukni balowych, bo nie mogłam się od ciebie dowiedzieć, w której będzie mi najlepiej. W końcu żadna suknia nie nosi się sama z siebie! A to już mój

piąty bal promocyjny w tym tygodniu!

- Ale... ty przecież nawet nie lubisz wampirów! To ja jestem ich miłośniczką. To moja impreza. Kto cię zaprosił?

- Levi. - Pochyliła się i półgłosem szepnęła mi do ucha: - Belle Goose, chcę zostać dzisiaj królową balu i jeśli wejdiesz mi w paradę, zadbam o to, byś żyła dostatecznie długo, żeby przeżyć śmierć wszystkich swoich najbliższych.

Uśmiechnęła się przymilnie i odeszła, żeby dołączyć do Leviego na parkiecie.

- Chodźmy, Belle - powiedział Josh. - To moja ulubiona piosenka. Zatańczmy!

- Nie mam ochoty tańczyć.

- Zatańcz ze mną, Belle - warknął groźnie.

- Poważnie, Josh? Mam z tobą zatańczyć piosenkę zespołu Green Day? To się tańczy już od stuleci.

- Mylisz się! - ryknął. - To piosenka grana jest najwyżej od dwudziestu balów!

- Co takiego? Od dwudziestu?!

- Tak, a ja jestem na balu już po raz osiemdziesiąty szósty. Czyżbyś zapomniała, że jestem nieśmiertelny?

- No tak, racja. Coś mi się zdaje, że ja nigdy... na dobre... nie przemyślałam sobie tego.

Po raz kolejny ogarnęła mnie tęsknota za Edwartem, który nigdy by nie zdradził, że uczestniczył już w osiemdziesięciu sześciu balach promocyjnych, bo przede wszystkim nie miałby pojęcia, co to jest Green Day.

- Tańcz! - rozkazał Josh.

- Sam nie wiesz, o co mnie prosisz - ostrzegłam lojalnie.

- Tylko jeden taniec! - rzucił stanowczo.

- Poważnie, Josh... Zawsze mój taniec nieumyślnie powodował przewrót polityczny.

- Jeden taniec! - zadeklarował, wlokąc mnie na parkiet. Potraktował mnie przy tym jak marionetkę, pociągając za sznurki, które wciąż były przytwierdzone do mojej zbroi.

- W porządku, już dobrze... zatańczę ten jeden taniec...

I odstaawiłam kabaretowe stepowanie. To dość skomplikowany ciąg kroków tanecznych, lecz obserwatorzy łatwo mogą wziąć niezdarność tancerza za udawaną, jeśli wystarczająco wysoko uniesie się na nich brwi.

Jak zapowiedziałam, jeszcze przed końcem mojego tańca doszło do rewolucji.

Tłum rozwścieczonych wampirów wyległ na parkiet, gwałtownie usiłując powstrzymać mnie od dalszego tańca, gdyż ten wymknął mi się już spod kontroli. Setka stepujących wampirów zaczęła się więc rozpychać i kopać nawzajem, pragnąc jak najszybciej doprowadzić do końca mój ciąg kroków tanecznych. Zdażyłam się bezpiecznie wycofać pod ścianę, zanim gromada stepujących tancerzy pod naporem tłumu porzuciła kolumny i pozrywała kable, uciszając muzykę. W sali gimnastycznej zapanowała wrzawa błaznujących wampirów. Jeden z nich rzucił się plackiem na stół z wazami, jakby to była ślizgawka, a jego znajomi szybko opróżnili zawartość czterech waz na niego, na siebie i wszystko dookoła. Inny wampir, oburzony profanacją napojów, rozłukł swoją szklanekę pełną krwi na głowie jednego z rozlewających i jeszcze na dodatek wyprowadził boksinerski cios na szczękę. Sala błyskawicznie podzieliła się na dwa obozy - prowylewaczy i antywylewaczy.

Postanowiłam zaczekać cierpliwie, aż bójka nieco osłabnie; sączyłam swoją porcję krwi na składanym krzeselku w najdalszym kącie sali, zanadto znudzona nawet na to, żeby powiedzieć: „a nie mówiłam?” (lecz nie na tyle znudzona, żeby nie wykrzyknąć tego do mikrofonu).

Dostrzegłam Lucy zbierającą niezłe cięgi i bezskutecznie próbującą wydostać się z oszalałego tłumu.

- Uwważaj! - wykrzyknęłam, ale było za późno.

Ktoś musiał pociągnąć za rękaw jej sukienki, przez co oderwał go, otwierając dobrze ukrytą agrafkę, którą był przypięty.

- Auć! - wykrzyknęła Lucy, spoglądając na przedramię.

W zadrapaniu pojawiła się kropelka krwi.

Na parkiecie natychmiast zapanował spokój, zaległa całkowita cisza, a wampiry zaczęły się smakowicie oblizywać, zacieśniając krąg wokół Lucy. Ja także zaczęłam się oblizywać, bo to jedna z tych rzeczy, które się strasznie udzielają, jak ziewanie czy kichanie, ale zaraz się powstrzymałam, bo to nie najlepszy pomysł, gdy zapomniało się zabrać truskawkową pomadkę do warg.

Kropelka stoczyła się po przedramieniu Lucy i spadła na podłogę. Trzy wampiry bez wahania rzuciły się na nią. Spadła następna kropelka. Trzy następne wampiry rzuciły się na podłogę. I wtedy dała o sobie znać jej hemofilia. Krew trysnęła ze skaleczonej ręki niczym strumień wody z hydrantu. Wampiry ułożyły się na wznak, otwierając szeroko usta, żeby nie uronić ani kropelki, a po pewnym czasie niektóre zaczęły się nawet tarzać w szkarłatnej kałuży niczym małe dzieci w upalny letni dzień.

- Nakłujcie ją! - wrzasnęła Lucy, wskazując na mnie. - Ona też jest człowiekiem! Nakłujcie ją!

Kilka wampirów obejrzało się na mnie. Uśmiechnęłam się i pomachałam im. Teraz byłam dla nich jak Duce, żywy symbol rewolucji.

- Brać ją! - zakrzyknęły wampiry.

Całkiem niespodziewanie stałam się najbardziej rozchwytywaną dziewczyną na balu. Tłum błyskawicznie zgromadził się wokół mojego krzesła, podniesiono mnie i usadowiono na ramionach. Zewsząd popłynęły entuzjastycznie skandowane hasła: „Na ludzi! Więcej ludzkiej krwi! Na scenę z nią! Więcej ludzkiej krwi! Nakłuć jej ramię! Więcej ludzkiej krwi!”.

Mimo niespodziewanie zdobytej popularności jeszcze bardziej mnie zaskoczyło, gdy ktoś ogłosił do mikrofonu:

- Królem i królową dzisiejszego balu zostają... Joshua



Wampir oraz Belle Goose!

Cztery wampiry postawiły mnie delikatnie na skraju sceny obok Josha, po czym wycofały się do pierwszego szeregu publiczności zerkającej na nas z szalonymi, łakomymi błyskami w oczach.

- Nie mogę uwierzyć, że zostałam królową balu - szepnęłam w podnieceniu do Josha.

- Tak, wiem - mruknął, otaczając mnie ramieniem. - Ja także nie mogę uwierzyć, że zostałam królową balu. Bo dla mnie na zawsze pozostaniesz balowym giermkim.

Zmarszczyłam brwi. Nagle wszystko wydało mi się dziwne. Lucy, która próbowała uciec dziesiątkom wygłodniałych wampirów; władczy i niezbyt romantyczny stosunek Josha do mnie; nieoczekiwana koronacja nas obojga na króla i królową balu, kiedy tytuły te w sposób oczywisty należały się całkiem innej parze - wykazującej się dużo większą odwagą, to znaczy wampirzemu gejowi skromnie tańczącemu ze swoim partnerem w rogu sali. Mimo licznych spojrzeń pełnych dezaprobaty żaden z nich nie zamierzał pozwolić innym na definiowanie ich prawdziwej miłości.

Na sali zawrzało od głośniejszych wiwatów. Zwróciłam uwagę, że Lucy wskazuje coś nad moją głowę i najwyraźniej coś wykrzykuje. Spojrzałam w górę, usiłując cokolwiek dojrzeć poprzez świetlne refleksy mojej tiary. I aż mnie zatkało. Z mej pamięci wypłynęły słowa złowieszczej epileptycznej przepowiedni Angeliki: WIDZĘ SAŁĘ W ROZDZIALE DZIESIĄTYM. SAŁĘ PEŁNĄ WAMPIRÓW W ROGU STOI METALOWE SKŁADANE KRZESEŁKO... WYSTRZEGAJ SIĘ KORONY.

Dałam nura w ostatniej chwili, tuż przed upadkiem dwudziestokilogramowego obciążnika od sztangi z przymocowaną do niego cierniową tiarą. Zeskoczyłam ze sceny.

- Łapać ją! - wrzasnął dziko Josh.

Obejrzałam się na niego.



- Mam dość twoich kategorycznych rozkazów, Joshua. W ogóle mam dość wampirów.

Wybiegłam z sali gimnastycznej na świeże, rześkie nocne powietrze, zagubiona i osamotniona, ponieważ - bądźmy szczerzy - rozmowy z Jimem przypominały mówienie do ściany. Nie miałam się do kogo zwrócić o wsparcie, ani wśród wampirów, ani wśród ludzi. Boże, potrzebuję chyba przyjaciela wilkołaka, przemknęło mi przez myśl, gdy szłam w stronę parkingu.

I wtedy zdarzyło się coś zabawnego. Oczy zaszyły mi mgłą i wypełniło je miękkie białe światło padające znad horyzontu. Zatrzymałam się na szczycie schodów prowadzących na parking i złapałam poręcz, żeby nie stracić równowagi. Mętawy blask jeszcze przez jakiś czas spowijał świat przede mną, ale wkrótce wyłoniły się w jego górnej części dwa zielone światełka, a pod nimi pojawił się idiotyczny uśmiech upstrzony metalicznymi rozbłyskami aparatu ortodontycznego. Edwart. Patrzyłam na Edwarta. W jednej chwili uwolniłam się od wściekłości i zamętu w głowie, gdy zrozumiałam, co powinnam zrobić.

Najpierw musiałam jednak jakoś zejść po tych schodach, nie wyrządzając sobie krzywdy. Lecz skoro Edwart jaśniał w moich myślach jak światło latarni morskiej, popatrzyłam z chłodnym spokojem na śmiertelne zagrożenia kryjące się na stopniach schodów przede mną. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie odczuwałam tak błęgiego spokoju.

Przeskakując z jednej nogi na drugą, zbiegłam na dół, tu i tam robiąc gwałtowne uniki, kiedy nie wiadomo skąd zaczęły dookoła uderzać ostrza toporów. Ale ja miałam je gdzieś! Naprawdę miałam je gdzieś. Okrążyłam zaostrzony pał, który nagle wystrzelił przede mną spod ziemi. Niewiele brakowało, gdyż zrobił sporą dziurę w moim stroju balowym. Kiedy zaś wybiła północ, poczułam, jak spowijający mnie kokon zaczyna się otwierać. Oto miałam się przepoczwaczyć w kociaka. A może w bezbronną pokojówkę? Albo w motyla? W każdym razie

zmiana ta miała na celu rozwój mojego charakteru. Przy czym była to zmiana pozytywna, przynajmniej pod kątem zdolności odnajdowania równowagi.

Nie zaszła jednak do końca.

W porządku, Przystojniaczko, pomyślałam, czerpiąc odwagę z mego nowo nabytego przezwiska. Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnaś wyprostować, zanim ta noc dobiegnie końca.

11. WŁAŚCIWE MIEJSCE

A tą jedną rzeczą było odpowiednie ustawienie alarmu w naszym domu. Teraz, gdy perspektywa włamania się jakiegoś wampira i pojawienia się go nocą przy moim łóżku przestała być mętną fantazją i stała się przerażająco realną groźbą, musiałam jakoś zmienić ustawienia nakierowane na sygnalizowanie przestępców, ale ignorowanie wampirów.

Pobiegłam do domu i wyciągnęłam z dolnej szuflady w kuchennej szafce zasuwki przeciw wampirom. Po mojej przygodzie Jim uparł się, by je założyć, tyle że między zmaganiem wampirów a moimi romantycznymi spełnieniami w stylu Elizabeth Bennett po prostu nie znalazłam na to czasu. Przypomniawszy sobie jego ostrzeżenie, że dzisiejszej nocy będę spać na ulicy, jeśli wróci do domu i nadal nie będą założone zabezpieczenia przed wampirami, szybko obeszłam wszystkie pokoje, montując owe zasuwki, które mogła otworzyć tylko ludzka ręka. A to dlatego, że ludzie potrafią jednocześnie ścisnąć i ciągnąć, podczas gdy wampiry i dzieci potrafią robić tylko jedno albo drugie.

Chciałam szybko zapomnieć o balu promocyjnym, zdjęłam więc moją wyszczerbioną zbroję i przebrałam się w opiętą satynową suknię wieczorową. Z determinacją popatrzyłam w lustro. Ujrzałam taki autoportret, jaki z determinacją sama kreśliłam. Później z taką samą determinacją spojrzałam na

brudną wodę stojącą w kuchennym zlewie, w której powierzchni odbijał się rozmyty zarys mej twarzy. Trzeba iść do Edwarta.

Przybyłam pod ogrodzenie otaczające osiedle, na którym mieszkał, i zadyszana pomyślałam, że mogłam swobodnie wejść na teren przez bramę. Zdecydowałam się jednak zdjąć szpilki, bo chociaż były całkiem wygodne, chciałam dać Edwartowi do zrozumienia, że trudno mi się było do niego dostać. W tym samym celu - och! - przypadkowo rozerwałam sobie sukienkę, przechodząc przez płot, i - och! - przypadkowo potargałam sobie włosy o własną rękę.

Przebiegałam pogrążonymi w ciemności uliczkami osiedla, wyobrażając sobie, że jestem kobietą niosącą na głowie gliniany dzban i zmierzającą do studni po wodę albo że jako zdolna młoda dziewczyna uciekam przed grupą wampirów świętujących najwspanialszy wieczór w szkole średniej. Wiele wydarzyło się w moim życiu w ciągu ostatnich kilku dni. Umówiłam się z prawdziwym chłopakiem udającym wampira i z prawdziwym wampirem mówiącym z udawanym obcym akcentem; upozorowałam swoją śmierć, żeby się przekonać, czy będę miała cudowny pogrzeb, ale nie miałam żadnego pogrzebu, bo nie w porę zaczęła mi drgać powieka i mój plan wziął w łeb; no i ostatecznie przekopałam się przez całą wielotomową serię książek o młodej żartownisi, Nancy Drew. Było coś jeszcze związane z wilkołakami, ale tego wolałam nawet nie liczyć.

Kiedy tak biegłam ulicami, wszystkie te wydarzenia wypłynęły z mej pamięci w postaci ciągu filmowo - zdjęciowego z dopasowanym świetnym podkładem z muzyką rockową. Szybko dodałam do tego migawki z uroczystości przekazania mi jakiejś nagrody, gdyż miałam przeczucie, że wkrótce dojdzie i do tego.

Skreśliłam w uliczkę Edwarta i postanowiłam spokojnie przejść ten ostatni odcinek, gdyż nie chciałam stanąć przed nim zadyszana. I tak musiałam wymyślić jakieś wytłumaczenie wilgotnych plam od potu na mojej sukience. Zabrzmiałyby to

wiarygodnie, gdybym powiedziała, że musiałam po drodze się wysikać, a moje siki jakimś dziwnym sposobem poleciały ku górze aż po pachy?

Byłam już przed domem Edwarta, kiedy nagle doleciały mnie tony utworu *Decode* zespołu Paramour. To był dzwonek mego telefonu!

Błyskawicznie otworzyłam aparat.

- Co jest, na krew? - rzuciłam do mikrofonu, gdyż wymyśliłam sobie taką odzywkę, kiedy jeszcze sądziłam, że mój chłopak jest wampirem.

- Lepiej się nie odzywaj, kiedy cię o to nie poproszę.

Zastygłam bez ruchu. To był Josh! Upuściłam telefon. Podniosłam go, ale zaraz upuściłam po raz drugi.

Uniosłam go do ucha w samą porę, żeby usłyszeć:

- Świetnie. Teraz powiedz „Switchblade” albo wciśnij jedynekę, jeśli jest to twoja obecna lokalizacja.

- Switchblade - szepnęłam, ze strachem zerkając na szklany dom Edwarta. Mógł być tylko jeden powód tego niespodziewanego telefonu: porwanie. Czy miałam choć cień szansy usłyszeć jeszcze słodką melodyjkę Edwarta graną na trójkącie?

- To ostatnie ostrzeżenie - powiedział Josh.

- Przestań! - krzyknęłam. - Wcale się ciebie nie boję!

- Twój samochód nie jest ubezpieczony.

- Gdzie jest Edwart? Nie róbcie mu krzywdy! - Ślizgając się na szklanym chodniku, ruszyłam biegiem do wejścia.

- Aby ubezpieczyć samochód, wciśnij jedynekę albo po sygnale powiedz „UBEZPIECZYĆ” - oznajmił głos Josha.

Zwolniłam kroku, odczuwszy wielką ulgę. To było nagranie. Wiedziałam wreszcie, z czego żyją wampiry: sprzedawały swoje władcze głosy do nagrań dla automatów telefonicznych.

Pod drzwiami Edwarta mój palec wskazujący był tak roztrzęsiony, że nie mogłam nacisnąć dzwonka - owszem, kolejne denerwujące zastrzeżenie co do naszej wzajemnej miłości

uchroniło mnie przed tym, co nieuniknione. *A jeśli żyło mu się lepiej beze mnie? Jeśli w ciągu ostatnich czterech godzin spotkał kogoś, kto przeczytał więcej książek Jane Austen ode mnie? Jeśli poznał kogoś znacznie mniej podatnego na uleganie złudzeniom?* W geście bezradności oparłam czoło o chłodną ścianę i przypadkiem nacisnęłam dzwonek.

Edwart otworzył drzwi.

- Belle! - wykrzyknął.

- Edwart! - odkrzyknęłam.

- Belle!

- Edwart!

- Belle!

- Edwart!

Dostrzegłam czosnek na futrynie nad drzwiami. Edwart trzymał w jednym ręku kołek, a w drugim koszulkę z napisem „Team Jacob”.

- Zostałaś ugryziona? - zapytał nerwowo.

- Nie - odparłam, ruszając w jego kierunku. - Nic mi nie jest.

- Też mi coś! - mruknął, odkładając kołek i koszulkę. - To by dopiero było!

- Nie przejmuj się. Jeśli Josh kiedykolwiek spróbuje, ja ugryzę go pierwsza i zamienię go w dziewczynę.

Przez kilka chwil staliśmy w milczeniu. W pierwszej chwili zauważyłam z ulgą, że patrzenie na niego wciąż przyprawia mnie o szybsze bicie serca. W drugiej chwili pomyślałam z tęsknotą, że jeśli mój puls zaraz nie zwolni, dostanę zawału od tego długiego biegu. W trzeciej chwili obrzuciłam szybkim spojrzeniem jego tyczkowatą sylwetkę i szeroko uśmiechniętą piegowatą twarz. Odruchowo uśmiechnęłam się tak samo szeroko. Pomyślałam, że dopóki jestem z Edwartem, już nigdy nie przegram żadnej „wojny kciuków”.

- Co się dzieje? - zapytał.

Odpowiedziałam jak zwykle:



- Niewiele. Po prostu wyszłam z balu wampirów, żeby się z tobą zobaczyć.

- Belle, naprawdę bardzo przepraszam, że zostawiłem cię na cmentarzu. Zamierzałem wziąć kilka lekcji karate i wrócić po ciebie... Ale po pierwszej lekcji z etyki zrozumiałem, że karate zaczyna się od szacunku i na nim kończy. To dyscyplina przeznaczona wyłącznie do samoobrony, a i to wyłącznie w skrajnych sytuacjach. Dlatego wspiałem się na szczyt Kurhanu Truposza i wyciągnąłem androida...

- Tego, co upada i znowu się podnosi.

- Tak, tego samego! - Po raz kolejny uśmiechnął się szeroko, z zachwytem. - Wspaniale, że pamiętasz.

- Jakżeby inaczej, Edwarcie. Tamtego dnia uświadomiłam sobie, że mogłabym cię kochać nawet wtedy, gdybyś poświęcał cały czas na konstruowanie bezużytecznych i bezwartościowych androidów.

- Już nie takich bezużytecznych. - Odsunął się na bok, odsłaniając stojącego za nim robota. Wciąż przypominał anatomicznie doskonałą imitację ludzkiego ciała, ale coś jednak uległo zmianie. - Tylko spójrz.

Edwart włączył go, oczy androida rozblęskły na czerwono.

- Wampir, odległość: dziesięć kilometrów - oznajmił ten głosem Jeffa Goldbluma („To był pierwszy robot, który zdobył Oscara”, wyjaśnił Edwart z uwielbieniem w głosie). Uniósł żelazną rękę robota, do której było przytwierdzone coś w rodzaju masywnego harpuna.

- To pocisk samonaprowadzający z detektorem zimna - rzekł Edwart, uśmiechając się złośliwie. - Nazwałem go „wampirzym szaszłykiem”.

- Niesamowite - mruknęłam. - Czemu z niego nie skorzystałeś?

Wbił wzrok w podłogę.

- Bo dowiedziałem się, że jesteś z Joshem, a... nie chciałem cię skrzywdzić, gdyby...



- Dlaczego? Czemu nie wolałeś mnie uchronić przed tym okropnym, odrażającym wampirem?

Popatrzył na mnie swoimi roziskrzonymi zmęczonymi oczyma i uśmiechnął się smutno.

- A tobie by się podobało, gdybym wybił wszystkie wampiry, kiedy ty jeszcze się umawiałaś z jednym z nich? Nie wolałabyś, żebym zaczekał w spokoju na twój powrót, niezależnie od tego, ile to zajmie, żebyśmy teraz mogli je wybić wspólnie?

Zamyśliłam się, nie mając pewności, dokąd to zmierza.

- Dlatego czekałem na ciebie - dodał. - Czekałem, żeby się przekonać, czy dasz radę wrócić, mimo że wolałaś umawiać się z wampirem niż ze mną.

- No cóż... - zaczęłam, ale szybko doszłam do wniosku, że jakiegokolwiek oświadczenie będzie zanadto skomplikowane, żeby mogło być prawdziwe. Dlatego powiedziałam tylko: - Ja też przepraszam, Edwarcie.

Ułożył palec na wmontowanym w androida przycisku START.

- Zatem możemy zaczynać? - zapytał z rozbawieniem, wyciągając drugą rękę do mnie.

- Edwarcie!

- O co chodzi?

Z dezaprobatą skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Naprawdę pomyślałeś... pomyślałeś, że ja naprawdę... że mogłabym zabijać? Zabijać wampiry?

Zaśmiał się nerwowo. Ja także wybuchnęłam śmiechem. Musiałam przyznać, że mogliśmy któregoś dnia splatać niezłego psikusa.

Edwart odwrócił się do mnie bokiem, ale tak ustawił głowę, żeby widzieć mnie przez cały czas, choćby tylko kątem oka.

- Czy mogę.. zademonstrować ci grę wideo, którą sam zrobiłem? - zapytał cicho.

- Tak, jasne. To takie super, że konstruujesz gry wideo! Ta

gra jest o mnie?

- No, wiesz... - mruknął wstydliwie, włączając konsolę Wii.

Uświadomiłam sobie, że moja niezawodna dedukcja i teraz mnie nie zawiodła. Oczywiście była to gra o mnie!

- W porządku, a więc to ty - rzekł, wskazując animowaną komputerowo postać dziewczyny.

- Ale ona ma ciemnoblonde włosy - zaproponowałam.

- Przecież ty też jesteś ciemną blondynką, prawda?

- Ciemną blondynką z czerwonym odcieniem - sprostowałam. Jezu!

Wskazał postać muskularnego wojownika.

- A to, ma się rozumieć, ja - powiedział. - Ten zaś to Josh! - Pokazał muchomora na samym dole ekranu. - Rozprawmy się z nim, Belle!

Powoli traciłam cierpliwość. Czyżbyśmy mieli czekać jeszcze cztery książki i tysiące stron tekstu, aż coś się wydarzy?

- Więc co chcesz teraz robić? - zapytałam.

- Grać w gry wideo.

- Jak długo zamierzasz w nie grać?

- Dostyc długo. Chciałbym rozegrać z tobą każdą grę, jaką mam.

- A co potem?

- No cóż, jeśli zostanie nam czas, będziemy mogli wspólnie popracować nad naszą klubową stroną sieciową, ale tylko wtedy, gdy nie będziesz zmęczona po tych wszystkich grach. Mam ich dwie pełne szafki.

Położyłam się na kanapie wycieńczona. Problem z inteligentnymi chłopakami polega na tym, że nigdy nie przejmują inicjatywy.

I oto stało się, niemalże w okamgnieniu. Wystarczył jeden szybki ruch po skajowym obiciu kanapy, żeby Edward wyciągnął się u mego boku. Pospiesznie otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do swojej kościstej piersi.

Złapał mnie za ręce tak, jakby to były dwa urządzenia

sterujące do gier wideo, po czym lekko nacisnął mój lewy palec wskazujący. Zamachnęłam się do kopniaka. Potem nacisnął mój lewy mały palec i podskoczyłam. Przycisnął mi prawy kciuk i zawisłam w powietrzu. Potem lekko przekreślił mi rękę w nadgarstku, jednocześnie naciskając prawy palec środkowy. Przykucnęłam i wystrzeliłam z obu dłoni dwie ogniste kule. To się stawało zabawne!

Nagle wyrzuciłam z siebie jednym tchem:

- Kocham cię bardziej niż wszystko w całej Galaktyce połączone w jeden mocny wyśmienity kawałek gumy do żucia!

- To zdecydowanie bardziej niż wystarczająco - powiedział. Przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu, wreszcie dodał: - Ta gra pokazuje moje uczucia.

Popatrzyliśmy razem na sylwetki Belle i Edwarta widoczne na ekranie telewizora. Stali naprzeciwko siebie, na zmianę kłaniali się sobie lekko i powtarzali: „Cześć ci!”. Zupełnie tak samo jak my, pomyślałam.

Edwart powoli zaczął wodzić palcami po moich plecach, kreśląc na nich niewidoczne kształty. Odwróciłam się do niego i tak zaczęłam kierować jego dłonią, żeby wyszedł zarys indyka.

Po kilku minutach zapytał:

- Co ja rysuję?

- Komputer.

Westchnął i delikatnie przytknął wargi do moich włosów.

- Tak dobrze mnie znasz - mruknął.

Zaciekawiło mnie, co by pomyślały dzieciaki z mojej poprzedniej szkoły w Phoenix, gdyby nas teraz zobaczyły. Pewnie by powiedziały: „To Belle wyjechała z Phoenix? Tak mi się coś zdawało, że kogoś brakuje w naszej grupie zadaniowej z historii!”.

Zaczęliśmy ćwiczyć pocałunki motyla, to znaczy nawzajem muskać się po skórze rzesami. Chciałam uszanować zamiar Edwarta, żeby poczekać, a on chciał uszanować moje zamiłowanie do skrzydlatych stworzeń.



- ACH! SKURCZ NOGI! SKURCZ NOGI! - wykrzyknął nagle.

- Mój Boże, strasznie przepraszam. Zrobiłam coś nie tak? - zapytałam, zmartwiona, że popycham go ku zbyt intensywnym doznaniom.

- Nie, muszę ją tylko rozprostować... W porządku, już lepiej.

Uniosłam twarz ku niemu, żeby wrócić do przerwane go pocałunku motyla, a on tymczasem pochylił się nade mną, żeby zatrzepotać rzęsami o moje rzęsy, później o policzek i wargi. Odznaczał się fatalną koordynacją wzrokowo - rzęsową, musiałam więc trwać w idealnym bezruchu, żeby mu to ułatwić. On zaś ujął moją twarz mocno w dłonie, żeby łatwiej celować. Wreszcie, bardzo powoli, obrócił mą twarz ku sobie. Przestałam trzepotać rzęsami. Przez bardzo długi czas spoglądaliśmy na siebie, aż zaczęłam robić zeza i ujrzałam przed sobą trzy nosy równocześnie. Odsunął na bok pasemko włosów, które przyklepiły mi się do pomadki na wargach, po czym zanurzył głęboko palce w moich czerwonych ciemnoblon d puklach, jakby chciał objąć dłońmi całą moją głowę. Czule uniósł moje wargi do swoich, aż poczułam, jak jego oddech łaskocze mnie po drobnych włoskach, które każda normalna kobieta ma nad górną wargą.

- ACH! SKURCZ NOGI! SKURCZ NOGI! - wykrzyknął.

- Jak to się dzieje?

- Nie, już dobrze... auu!... już w porządku. Popatrzyliśmy na siebie i zaśmialiśmy się, bo w końcu każdy związek wymaga sporo pracy i porozumienia.

Po chwili jednak Edwart przytknął swoje zimne wargi do mojej szyi. Po raz pierwszy.

SPIS TREŚCI

1. PIERWSZY RZUT OKA	5
2. RATUNEK	23
3. NAKŁUCIE PALCA	34
4. BADANIA	44
5. ZAKUPY	57
6. LASY	74
7. MULLENOWIE	89
8. CMENTARZ	100
9. ZAPROSZENIE	113
10. BAL WAMPIRÓW	122
11. WŁAŚCIWE MIEJSCE	144

Brawurowy pastisz bestsellerowej wampirycznej sagi Stephenie Meyer

Belle Goose ma jeden cel w życiu – znaleźć wampira, który by ją ukąsił. Kiedy poznaje ekscentrycznego i zabójczo przystojnego Edwarta Mullena, w którym natychmiast się zakochuje, jest pewna, że jej plan się powiedzie. Gdyby nie jeden feler – Edwart nie jest wampirem...

Ta kapitalna parodia *Zmierzchu* powstała w redakcji najstarszego na świecie pisma satyrycznego, „The Harvard Lampoon”, którego honorowymi członkami byli m.in. Winston Churchill, Kurt Vonnegut, John Cleese i Dan Aykroyd.

